









g

SATYRY I FRASZKI

Wojewódzka i Miejska
Biblioteka Publiczna w Rzeszowie

A-2382



001-0015996--00







M. RODOĆ
(M. BIERNACKI)

M. RODOĆ

SATYRY I FRASZKI

WYBÓR

Z PORTRETEM AUTORA
I PRZEDMOWĄ DRA HENRYKA BIEGELEISENA



WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW – G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1897.



549.

A-2382

~~15929~~

15996

NAKŁAD I WŁASNOŚĆ WYDAWCÓW.

Kraków. — Druk W. L. Anezyca i Spółki.

20,-

15,-



Mało który z poetów lat ostatnich zdobył sobie tak szeroką popularność, jak Mikołaj Rodoć (Biernacki). Od lat przeszło 20-tu czytają i przedrukowują jego satyry pisma lwowskie, krakowskie, oraz warszawskie, budząc ogólne zajęcie. Dlaczego? Bo cokolwiek o nich powiedzieć można, zawierały zawsze bodaj okruszynę prawdy, a owiewał je humor jasny, pogodny, serdeczny.

Dziwne są losy humorystyki naszej — czytają ją chętnie, ale i lekceważą. Nie tylko czytelnicy, nawet historycy literatury zaledwie raczą owych bezimiennych lub kryjących się po za pseudonimami pisarzów — zaliczyć do poetów, jak gdyby tło poezji koniecznie stanowić musiały: łzy, jęki i trupy, a uśmiech i drobne grzeszki codziennego życia były pozbawione wszelkiego uroku.

Opinię tę wytworzyła masa wierszyków okolicznościowych bez natchnienia, zazwyczaj osobistych, zalewających rynek naszej humorystyki, obliczonej

na zwykłe tygodniowe potrzeby czytelników. A pełał odszukać nie łatwo w tej powodzi wierszy, stale zapełniających po brzegi kilkanaście pism humorystycznych. Niema też może rzeczy trudniejszej od humorystyki wierszowanej. Wymaga ona starannego opracowania, a wyczerpuje treść szybko. Jak zaś jest rzadką, najlepszy dowód w tem, że na stu pisarzów mamy zaledwie kilku humorystów.

Nim scharakteryzujemy humor Rodocia, podamy kilka szczegółów z jego życia.

Mikołaj Rodoć Biernacki urodził się 6-go czerwca 1836 r. we wsi Cyganówka Zieleniecka pod Kamieńcem Podolskim z ojca wyższego urzędnika i matki z domu Podluskich, córki bogatego właściciela ziemskiego. Początki nauki odebrał w domu, klasę III i IV ukończył w prywatnym zakładzie Niemca Vatkego, a V—VII w instytucie szlacheckim w Warszawie, który był nieco wyższym zakładem naukowym od gimnazjum. Po wyjściu z Instytutu wszedł Biernacki do służby w bylej Komisji spraw wewnętrznych Królestwa, gdzie pozostawał do 1863 r., w którym to roku kupił wieś Czerwonkę o 7 mil od Warszawy i gospodarował na niej do 1874 r.

Tu rozegrały się najważniejsze chwile w życiu Biernackiego. Oddał się z zapalem rolnictwu i pisywał artykuły do „Gazety Rolniczej”. O poezji ani mu się śniło.

W owych czasach był już poważnym ojcem rodziny, gdyż ożenił się nader wcześnie, w 22-im roku życia. W 1874 r. sprzedał majątek i wyjechał jako wdowiec po pierwszej żonie, Natalii Szulc Holnickiej, z pięciorgiem drobnych dzieci do Galicyi.

Na krótko przedtem zaczął tworzyć.

Laską Mojżesza, pod której dotknięciem trysnęło z jego duszy żywe źródło poezyi, była — miłość. Utraciwszy żonę, zakochał się i pod wpływem tego uczucia napisał ze dwa tomu liryki, które posłał Kraszewskiemu do oceny, ale wkrótce otrzymał od Nestora naszego piśmiennictwa odpowiedź, że są »nie tęgie« — co wobec uwielbiającej literatów pani jego myśli, naraziło go na żarty. Pisał jednak dalej — Kraszewski wciąż ganił, a »ona« wciąż się śmiała.

Kraszewski radził pisać zwięzlej i treściwiej, radził szukać dróg nowych. Pod wpływem owych rad spróbował poeta tłumaczyć Bérangera, a gdy te próby posłał Kraszewskiemu, otrzymał krótki nakaz: »Drukuj i idź naprzód, nie pytając o nic«.

Taki był początek literackiej karyery Rodocia.

Za przybyciem do Galicyi pozostawał krótko w Krakowie, poczem kupiwszy wieś Boczów w okolicy Wieliczki, mieszkał w niej do 1878 r., to jest do czasu, w którym nabył od Adama Bartoszewicza połowę »Księgarni polskiej«, a od Rogosza czasopismo »Tydzień« — które redagował do 1881 r.

»Tydzień« upadł, pomimo że go wspierały takie siły, jak Sienkiewicz, Ochorowicz, Kozłowski, Lam, Kraszewski, Wilczyński i w. in.

W tym to czasie (w r. 1882) ożenił się po raz drugi z Heleną Jordanową, siostrą słynnego filantropa Dra Henryka Jordana, kobietą niepospolicie wykształconą, której wpływ oddziałał korzystnie na dalszą twórczość poety.

Od r. 1886 pełni Biernacki obowiązki urzędnika w Towarzystwie wzajemnych ubezpieczeń we Lwowie. Majątek stracił nie tylko z braku rachunkowości, nie liczącej z jego poetyczno-nerwową naturą, ale głównie przez nagłą sprzedaż dóbr w Królestwie i Galicyi. Księgarnia przyniosła mu tylko deficyt 10,000 złr., a »Tydzień« 8,000 złr.

Przeszedłszy najrozmaitsze kolejne losy, nie nabrął goryczy, ale zachował swobodę umysłu i nieograniczoną pobłaźliwość dla innych.

Główny wpływ na twórczość poetyczną Rodocia wywarł Mickiewicz — ten dał mu podkład uczuciowy, zgodny z jego charakterem. Nauczycielem piękna była dla niego przyroda, a nauczycielem rytmu — muzyka, której wiele się oddawał od lat najmłodszych.

Rodoć nie ma daru drobiazgowej obserwacji, tworzy on raczej typ, a to zazwyczaj w ten sposób, że czytając lub słysząc co, chwyta jeden rys, jedno słowo i rzecz uogólnia.

W szczegóły nie wdaje się; dlatego do najlepszych jego prac należą krótkie utwory, obejmujące w najgrubszych rysach całość przedmiotu. Fraszki tworzy z łatwością. Chwyta zazwyczaj jedno zdanie i na tym piasku buduje pałace. Prawie zawsze najpierw myśli nad charakterystycznem zakończeniem, reszta sama z siebie przychodzi. Dłuższe rzeczy, jak np. gawędy, więcej kosztują go pracy i o tyle są coś warte, o ile składają się niejako z szeregu oddzielnego satyrek.

Od innych humorystów naszych, których mamy niewielu, różni się Rodoć pewną lekkością, swobodą, a przytem i żywą prawdą. Humor jego jest rubasznoszlachecki; ma coś z Paska i Falstafa razem.

Z piórem w ręku nie potrafi nic napisać; układa swoje utwory chodząc lub najczęściej w nocy. Budząc się co godzina, co dwie, zapala papierosa i rzecz obmyśla, a rano wstając, ma ją gotową: pozostaje tylko proces przelania rymów na papier.

— Ciemność mi pomaga — mawia Rodoć — gdy patrzę na świat, wszystko mnie zajmuje, więc i formułowanie myśli z trudnością mi przychodzi. Dopiero w ciszy nocnej mogę włożyć się w sceny, które sobie tworzę, i rozmówić się z ludźmi, grającymi rolę w mojej satyrze.

Zresztą układając lub poprawiając jaką satyrę,

może jednocześnie robić co innego, jak np. grać w karty, pisać w biurze i t. p. To go nie męczy, ani mu bardzo przeszkadza, a ostatnie to wykończenie idzie mu o wiele łatwiej, niż pierwszy rzut.

Każdy wierszyk kilkakrotnie Rodoć opracowuje. Dawniej zwłaszcza uczył się związkowości i mocy w ten sposób, że napisawszy np. 60 wierszy, przerabiał to samo na 40, na 20, a potem na 10, i przekonał się, że te 10 mówią to wszystko, co tamte 60 i to daleko lepiej. Dziś takie przerabianie rzadziej mu się zdarza, bo ma wprawę.

Przewaga Rodocia nad innymi humorystami polega na tem, że buduje wiersz architektonicznie, podrzędne epizody malując umyślnie słabiej, a ważne mocniej. Stąd efekt.

— Najlepiej mi się pisze — powiada nasz satyryk — gdy mnie co zirytuje. Wtedy ani śpię, ani jem, aż napiszę, lepiej czy gorzej, a napisać muszę. Nieraz ochłonąwszy, widzę, że niezupełna miałem rację i wówczas nie drukuję, ale napisać muszę; a napisawszy, a raczej wypisawszy się, jestem już spokojny i zapominam o tem, co mnie tak zirytowało. Idę ulicą, słyszę charakterystyczne zdanie, biorę je żywcem i widzianego człowieka ubieram w historyjkę — i typ gotowy.

Z pisarzów ideałem Rodocia jest Dickens, a ze swojskich Mickiewicz i Syrokomla, dla właściwej

temuż serdeczności. Co do wpływu, jaki wywarli na jego twórczość inni pisarze, wspomnieć należy przedewszystkiem Bérangera.

Dla wyrobienia sobie tak zalecanej przez Kraszewskiego zwięzłości, poeta nasz wziął się do tłumaczenia Bérangera, którego jasność i zwięzłość jest nieporównana. Przez pół roku starając się zachować formę jego do najdrobniejszych szczegółów, a treść co do słowa, nieraz całymi dniami chodził po lesie, szukając wyjścia z gąszczu rymów. Ciężka to była praca. Nieraz upadał ze znużenia, ale zawsze w końcu odpowiednie wyrażenie znaleźć musiał. Tę zawziętość w tworzeniu, choć w mniejszym stopniu, ma on do dziś dnia, ale po 23-letniej praktyce robota idzie mu lej.

Owoź Béranger swoją zwięzłością wycisnął wybitne piętno na fizyognomii literackiej Rodocia. Po początkowe utwory jego są naśladowictwem poety francuskiego z jego refrenami. Ze swojskich poetów Kochanowski dał mu pogodę, Syrokomla — prostotę i serdeczność, Pol i Pasek — fantazyę szlahecką, którą zresztą miał już w sobie, od Lama nabrał chęci zjeżdżenia tego, co mu się zlem wydało. Te wpływy w połączeniu z jego nerwowo-sangwinicznym temperamentem zrobili go poetą.

Sądzę, że każdy pisarz jest sumą wielkich poprzedników, ale także ich różniczką,

Czem się różni humor i satyra Rodocia od innych? Kto u nas pisał satyry humorystyczne? Krasiński? Satyry jego długie, rozwlekłe, robione na dawną modłę: nazwałbym je epicznemi, gdy Rodocia są więcej dramatyczne (np. monologi i dyalogi).

W Galicji miał Rodocę dwu rywalów, dwóch rzeczywiście utalentowanych pisarzy: Zagórskiego (Chochlika) i Stebelskiego. Niestety, jeden i drugi pisali przeważnie wiersze okolicznościowe, i to polityczne, tak, że pozostawili zaledwie po kilka utworów, zasługujących na nazwę prawdziwej satyry.

Humor Chochlika był cięty, zjadliwy, ale przyjęteżki. Humor Stebelskiego lżejszy, ale jakiś rozna-miętniono-desperacki, gdy humor Rodocia jest zdrowy nawet wówczas, gdy igra paradokszami.

Zresztą napisał on samych satyr i fraszek blisko tysiąc, co sprawia, że uważać go można w naszej literaturze za przedstawiciela satyryków w szerskim znaczeniu tego wyrazu. Nie rozrzucił bowiem swego talentu, jak tamci, na powieści, nowelle i t. p., ale dotknął wszelkich objawów życia społecznego, trzymając się właściwie sobie formy satyry i fraszek, a jeżeli pisywał felietony, jak np. *Listy do Redaktora* lub *Pogadanki*, to i te zaprawione są ironią, i z każdej z nich można wykroić po kilka satyr.

Jak już wyżej powiedzieliśmy, cechą satyr Rodocia jest zwięzłość, stanowiąca siłę. Żadnej gada-

niną, sama treść konieczna, wzmagająca się z każdym wierszem i bijąca w ostatnim, jak maczugą. Uogólnia on każdą sprawę, którą porusza i radby powiedzieć o niej wszystko, co się tylko da, w kilku wierszach. A jeżeli, jak we fraszkach, nie rozbiera sprawy, tylko dotknąć chce jednego jej szczegółu, najbardziej pięknego, to go przedstawi tak jasno i dotykalnie, że każdego przekona. To jest jego największa sztuka, w której dotyczeń nikt mu nie dorównał.

Działalność Rodocia 25-letnią podzielić można na trzy okresy, bo talent jego przechodził różne fazy. W pierwszym mamy próby łamania się z trudnościami, naśladowanie Bérangera.

Forma w tym pierwszym okresie była oczywiście słabszą, co zaś do treści, to przesiedliwszy się do Galicyi, stanął na gruncie silnie demokratycznym, kropiąc niemiłosiernie stronnictwo krakowskie.

W drugim okresie wyzwalała się Rodoć z więzów naśladowictwa i stwarza od razu zupełnie nową formę satyr, rodzaj miniaturowych dramatycznych w dyalogach i monologach, rzadziej w opowiadaniach epicznych. Tu forma wiersza jest już doskonalszą. Jednocześnie, poznawszy lepiej stosunki, miarkuje się, a w końcu zaprzestaje walk ze Stańczykami, a nawet skłania się ku konserwatyzmowi.

W trzecim okresie opanował Rodoć w zupeł-

ności formę, mając już swoją własną. Co do treści, obejmuje coraz szersze horyzonty społeczne i dochodzi do pewnej bezstronności. W tym czasie pisać zaczął obok satyr tak zwane *Fraszki*, które są prawdziwemi arcydziełami.

Wiersze Rodocia zjawiły się w pismach krakowskich i lwowskich w latach 1875 i 1876, choć już w Warszawie drukowano kilka jego utworów, a mianowicie przekładów z Bérangera i Wiktora Hugo w r. 1874. Równocześnie zaczął je autor puszczać w świat w oddzielnych tomikach, których wyszło dotąd 12. Wszystkie wyczerpane.

Dr. Henryk Biegeleisen.

SATYRY

Mały człowiek.

(Z Béranger'a).

Małego człowieczka
Znam od stu lat prawie,
W Warszawie.
Pulchny jak bułeczka,
I zawsze wesoły,
Choć goły,
Mówi: Ja sobie,
Mówi: Ja sobie,
Nic z tego nie robię,
To mi panowie!
Zuch co się zowie!

Pije z całej duszy,
Biega za nimfami,
Nocami,
Stąd w długach po uszy,
Lecz choć szłą do niego
Woźnego,

Mówi: Ja sobie,
Mówi: Ja sobie,
Nic z tego nie robię.
To mi panowie!
Zuch co się zowie!

Choć się z niego śmieje
Mróz w grudniu, bo drzewa
Nie miewa,
Choć w śnieg i zawieje
Tak chodzi po świecie,
Jak w lecie,
Mówi: Ja sobie,
Mówi: Ja sobie,
Nic z tego nie robię.
To mi panowie!
Zuch co się zowie!

Nie brzydką ma żonę,
Lecz mu na Amora
Wciąż chora.
A choć niestworzone
Krążą o niej baśnie,
On, właśnie,
Mówi: Ja sobie,
Mówi: Ja sobie,
Nic z tego nie robię.

To mi panowie!
Zuch co się zowie.

Gdy go niemoc zdradnie,
Rzuci, ach, mój Boże!
Na łóże,
A kto go zagadnie
O śmierci, szatanie,
Mój panie,
Mówi: Ja sobie,
Mówi: Ja sobie,
Nic z tego nie robię.
To mi panowie!
Zuch co się zowie!

1872.

C o k t o l u b i.

(Z Béranger'a).

Oddalbym chętnie za młodzieńcze lata,
Złoto Rotszyldów i sławę Woltera;
Lecz dzisiaj inne pojęcia u świata,
Nawet poeta ich się nie wypiera.
Każdego pali dziś zysków pragnienie.
Ja sam znam wielu, a prawda to szczerą,
Coby oddali za pełne kieszenie
I młodość swoją i sławę Woltera.

1873.

Muzyków zejście na ziemię.

Wszystkim jest zapewne znana
Sprzeczka Apolla i Pana

O flet i fujarę;

W której król Midas, za karę,
Że przyznał wyższość fujarze,
Od dumnego Apollina,
Zamiast dostać beczkę wina,
Dostał ośle uszy w darze.

Lecz na tem się nie skończyło.

Sluchajcie co dalej było:

Apollo zawoła:

Nie mnie nie obchodzi zgoła
Sąd jakiegoś niedolegli!

Ja żadam znawcy mój Panie,
Zatem pójdziemy po zdanie,
Do Jowisza — bez mitręgi.

Dobrze, mówi Pan, pójdziemy,
Jeszcze raz się spróbujemy.



Poszli i przybyli.
Natychmiast się ustawili
Pod oknami wielkiej sali
W której pijano herbatę,
I naraz głośną sonatę,
Z ge dur i be mol zagrali.

W sali był Jowisz, Mars z żoną,
Merkury... więc się bawiono.

Wtem chaos — szum w głowie.
Jowisz się skrzywił i powie:
„Znowu muzyka, no, proszę,
„Dziś już nie wiem po raz który,
„Bądź łaskaw, wyjdź-no Merkury,
„Odpraw ich, daj im trzy grosze...”

„Wyobrażenia nie macie,
„Mój Marsie, wiary nie dacie,
„Co to jest to granie!
„Spacer, obiad, bal, śniadanie,
„Pogrzeb... wszędzie się wciskają.
„To kwartety, to sonaty,
„To symfonie, to kantaty...
„Dość, że grają, grają, grają...”

Tutaj Merkury powraca,
I rzecze: „daremna praca!

»Grać będą od ucha,
»Aż się Jowisz dobrze wsłucha.
»To koncert Pana i Feba,
»Mają nowe instrumenta:
»Flet z klapką — fujara dęta,
»Żądają krytyki nieba«.

Jowisz, rękawy zagina...
»Merkury, gdzie moja trzcina?«
 Mówi, »chcą krytyki!«
Wybiegl... słyszać było krzyki...
Powrócił, siadł na kanapie,
I rzekł: »Całe grajków plemię,
»Kazalem zepchnąć na ziemię,
»Niech tam ludziom uszy drapie».

1876.

Nowy obyczaj.

Dzielne mamy obyczaje,
Gdy się je przenika,
Z każdego morał wystaje,
I zdrowa logika,
Dzisiaj nowy się urabia
Zwyczaj wcale gracki,
Mówić: pst, pst, bo to hrabia,
Hrabia Antenacki !

Pędzi pojazd, kuty złotem,
Obalił człowieka;
Bryzga w prawo, w lewo błotem,
Każdy w bok ucieka.
Na ratusz! Co on wyrabia!
Woła nań lud chwacki,
— Aj, pst, pst, pst, bo to hrabia,
Hrabia Antenacki !

Uwodzi, pije, gra w karty,
Dobroduszne tłumy,

Mierzy, ze wstydu odarty,
Wzrokiem pełnym dumy.
Jednak, choć miną nadrabia,
Poznać duch próżniacki,
— Aj, pst, pst, pst, bo to hrabia,
Hrabia Antenacki!

Siedzi na czterech koncesyach,
Został dyrektorem,
Tumani oczy na sesyach,
I żydowskim torem
Milionów się dorabia
W sposób adwokacki...
— Aj, pst, pst, pst, bo to hrabia,
Hrabia Antenacki!

Ściska wszystkich, na wsze strony,
Caluje i ściska,
A w duchu drwi, ucieczony
Że wierzą ludziska,
Lecz znać choć się tak podrabia,
Interesu macki...
— Aj, pst, pst, pst, bo to hrabia,
Hrabia Antenacki!

Zaduma, mądrość, powaga,
Wielkość bije z czoła,

A wewnątrz najczystsza blaga,
 Albo też nic zgoła.
 Mimo to, głupców obrabia,
 I chwyta w zasadzki . . .
 — Aj, pst, pst, pst, bo to hrabia,
 Hrabia Antenacki!

Pisze, pisze, to co umie,
 Pisze, jeszcze pisze,
 I sam siebie nierozumie,
 I inni, jak słyszę.
 Wszystko tak dzielnie przerabia,
 Że pójdzie pod placki . . .
 — Aj, pst, pst, pst, bo to hrabia,
 Hrabia Antenacki!

Nie wiem jak się komu zdaje,
 Ale mnie przenika,
 Myśl, że ludów obyczaje,
 To ludów logika.
 Nie źle więc, że się urabia,
 Zwyczaj wcale gracki,
 Mówić: pst, pst, bo to hrabia,
 Hrabia Antenacki!

Dr. Skubacki.

Suma — osiem tysięcy.
Ani mniej, ani więcej.

Spada na mnie po dziadku.
Mówią: bez adwokata
Odbierzesz za dwa lata.
Więc proszę w tym wypadku
Doktora Skubackiego.
Znany wszystkim i wszędzie.
Mówi: nic łatwiejszego,
Spadek w moment nasz będzie.

Upłynęło miesięcy
Osiem, ni mniej ni więcej.

— Szanowny adwokacie!
Co tam słyszać na świecie?
Mój spadek? jak tam przecie?
— Pamiętam, w *referacie*,

*Nakazy, protokóły,
Popycham, niech pan wierzy,
Pracujemy jak muly,
To długo nie poleży.*

Upłynęło miesięcy
Osiem, ni mniej ni więcej.

— Łaskawy Mecenasie !
Spadek? aż sam się wstydzę!
Zapomniałeś jak widzę!
— Pamiętam, w krótkim czasie
Już będzie; *duplikaty,*
Cesye protestowane,
Akceptacye, illaty...
Wszystko przygotowane.

Upłynęło miesięcy
Osiem, ni mniej ni więcej.

— Mecenasie kochany !
Gonię grosza ostatkiem,
Co się dzieje ze spadkiem?
— Pamiętam, *przywołany;*
Teraz tylko *duplicata,*
Inwekta, rotulacya,
Prezentatum, replika,
Taksa i licytacya.

Upłynęło miesięcy
Osiem, ni mniej ni więcej.

— Mecenasie łaskawy!
Mój spadek, ledwo żyję!
Rosa, wiesz, oczy wyje!
— Pamiętam, pańskiej sprawy
Pilmuję; już *kontrakty*
W przelewie, jeszcze kwity,
Kaucja, posew, ekstrakty,
I interes ubity.

Upłynęło miesięcy
Osiem, ni mniej ni więcej.

— Aj, szanowny doktorze!
Prędzej ja ujrzę cmentarz,
Niż spadek! nie pamiętasz!
— Pamiętam, ach, mój Boże!
Już tylko bagatela:
Rekurs, ekstensa z treści,
Rubrum i kuratela
Forsuję co się zmieści.

Upłynęło miesięcy
Osiem, ni mniej ni więcej.

— Doktorze! wstyd, dla Boga!
Spadek taki maluczki!
Wasze prawo to kruczki!
— Przepraszam, prawna droga,
I prawne systemata,
Są procesem logiki.
Cóż to jest cztery lata?
Nic nie pomogą krzyki.

Upłynęło miesięcy
Osiem, ni mniej ni więcej.

— Mecenasie! ni słowa!
Pięć lat prawicie baśnie,
Niech was piorun zatrzaśnie.
— Przepraszam — rzecz gotowa.
I oto są rachunki:
Prowizye, rekwizyta,
Konferencye, szacunki...
Proszę, niech pan przeczyta...

Suma osiem tysięcy,
Ani mniej, ani więcej.

A to mi się zdarzyło!

— Wiesz co, kochana żono,
Że to wytrzymać trudno;
Nigdzie nie zamieciono,
Wszędzie nieład i brudno...
— Ohó, znowu moraly!
Będzie gderał dzień cały!
Jakby też o co było!
Straszne rzeczy się stały,
Że się tam raz zdarzyło!

— Ależ moja kochana,
Przypomnij tylko sobie
Wizytę pana Jana:
W sali Staś marchew skrobie,
Na progu dwa szafliki,
Miska, trzewik Moniki,
Woda co się w niej myło,
Na drzwiach brudne ręczniki...
— No, to się raz zdarzyło!

— A przypominasz, duszko,
Owe miłe zdarzenie,
Jak Edzio właził pod łóżko,
I przy pannie Helenie,
Wyciągał stamtąd pierze,
Niepomyte talerze,
Jakąś gruszkę nadgniałą,
Doprawdy, aż wstyd bierze...
— No, to się raz zdarzyło!

— Albo te nasze dzieci,
Obdarłe, rózczochrane,
Brud się na nich aż świeci;
Toż to skonstatowane,
Że raz, nie wiem kto taki,
Dawał im dwa trojaki,
Żał mu się ich zrobiło.
Myślał że to zebraki...
— No, to się raz zdarzyło!

— Ależ moje kochanie,
Nie to, to co innego,
Ze służbał zamieszanie,
Że aż coś okropnego.
Wiecznie cię o coś proszą,
To wnoszą, to wynoszą,
To się tam coś rozbilo,

A wypadeczek z broszą?

— No, to się raz zdarzyło!

— Ależ gdzie tam raz — zawsze...

Zdaje mi się ktoś dzwoni...

— O nieba najłaskawsze!

To pewnie pan Antoni!

A tam w sali pierzyna!

Nie otwieraj Regina!

Gdzie są klucze? To miło!

Na biurku cielęcina!

A to mi się zdarzyło!

1877.

Ciężkie czasy.

- Witam, witam panie Janie!
- Witam, witam panie Procie!
- Jakże się miewacie?
- Jak to zwykle w chudym stanie.
- I ja nie opływam w złocie!
- Ciężko panie Bracie!
- Dokąd tak rano? — Do biura,
- A i ja! — Przeklęta dziura!
- Dziś mi coś, jakoś dolega,
Możecyśmy gdzie wstąpili,
 Na gorzkie kropelki?
- Jak tam uważasz kolega,
Mnie do biurka nic nie pili...
- Tak na dwa kufelki.
- Ot tu czasem nie źle bywa.
- Ha, dobrze!... Chłopiec! dwa piwa!
- Bo to proszę pana Prota,
Żoneczka, pięcioro dzieci,

Że aż pęka głowa!
 — I u mnie tak, niedziwota,
 Prawie się dziurami świeci,
 Niechaj Bóg uchowa!
 Już to komu los doskwiera
 To... Chłopiec! dwie porcy sera.

— Bo, to proszę pana Jana,
 Ledwo człowiek się obudzi,
 Zaraz daj talara!
 — A i u mnie żonka kochana
 Wiecznie o pieniądze nudzi.
 Istna boża kara!
 A tu fundusik niewielki...
 Chłopiec! jeszcze dwa kufelki!

— Dzisiaj, proszę pana Prota
 Dziewięć złotych, wola żona
 Na same trzewiki.
 — A moja znowu hołota
 Wzięła na kieł że uczona,
 Daj na gramatyki!
 A nie daj, to zaraz płacze...
 Chłopiec! hola! dwa sandaczki,

— Ja bo, proszę pana Jana,
 Moją zagadam słodzikutko,

I w nogi do miasta.
 — A ja, chociaż zapłakana,
 Moją zawsze trzymam krótko,
 Nie dam nic i basta
 Daję wam słowo honoru...
 Chłopiec! ćwierć funta kawioru!

— Najgorsze to te procenta,
 Z nimi najstraszniejsza bieda.
 Tego to nie lubię.
 — Prawda, oj, lichwa przeklęta,
 I ja mam być dziś u żyda,
 Znowu mnie oskubie!
 Dość, że gdzie dotkniesz to rana,
 Chłopiec! butelkę szampana!

— Tak, kochany panie Procie!
 — Tak, kochany panie Janie!
 — Zdrowie! w wasze dlonie!
 — Niechże was obsypią krocie!
 — Niech wam się milion dostanie!
 — Nie mówcie nic żonie!
 — Szampanik choć pocałować!
 — Trzeba firmę zanotować!

Boże! jak Ty rządzasz światem.

Boże! jak Ty rządzasz światem!
Nogami staje do góry!
Dzisiaj, plebejuszów córy,
Chcą się równać z patrycyatem!
Dziś mieszczka tak prosto chodzi,
Jakby pokrewna magnacka;
Jak ja! jak ja! którą rodzi
Z Starogratów Odrapacka!

Naprzykład, ta pani Iwo?
Chwałą, że jest ugrzeczniona;
Jakiegoś tam radcy żona,
Naturalnie! wielkie dziwo!
I z czegoż ma być nadęta?
Mimo to, młodzież waryacka,
Wciąż jej prawi komplementa;
A nudzi się Odrapacka!

U ciotki, na imieniny,
Był muzykalny poranek,

Siedziałam w pośród mieszkańców,
Przez całe cztery godziny.
Krzywiłam ciągle ustami,
I odjechałam znienacka.
Musiałam, z urzędniczkami
Nie rozmawia Odrapacka !

Ewelina Zadarnoska
Idzie za męż, w Bialskie strony,
Pan Bogdan, jej narzeczony,
Do rzeczy, jest tam i wioska;
Wszyscy jej zazdroczą losów.
Bogdan... to jakoś z kozacka;
To dobre dla Zadarnosów!
Nie zazdrości Odrapacka !

Od pozaprzeszłej niedzieli,
Chyba już nie pójdę zgoła,
Nigdy w życiu do kościoła.
Wchodzę, idę wprost jak strzelii...
Ławka pełna w pierwszym rzędzie!
To obelga świętokradzka!
Wyszłam; nigdy nie usiądzie,
Gdzieś tam w środku Odrapacka !

Pan brat, widząc herb z koroną
Na mej wizytowej karcie,

Śmiał się; ja po takim żarcie,
Padłam jak długa, zemdloną!
Śmiać się z herbu »Ośla Głowa!«
A to idea cudacka!
Podobnych zniewag nie chowa
Do kieszeni Odrapacka.

Najbardziej mi serce ściska
Obejście mojej Malwinki;
Robi tak potulne minki,
Jakby mieszczka bez nazwiska.
Co to będzie, kiedyś, potem,
Moje wnuki! krew magnacka!
Gotowe zapomnieć o tem,
Że je rodzi Odrapacka!

1877.

Jak brać losy za czuprynę.

Wreszcie, dzięki wujaszkowi,
Zbyłem się matury;
Teraz, trzeba człowiekowi
Drapać się do góry.
Plan już mam, z nim to popłynę,
I chwycę los za czuprynę.

Najprzód ruszam na wszechnicę,
Gdzie, jak sobie wnoszę,
Po łapkach, z nauk, zachwycę
Wszystkiego potroszę.
Już ja to wiem, jak w godzinę
Chwytać rozum za czuprynę.

Kolegom nie będę sporny,
Warunek konieczny;
Dla możnych, będę pokorny,
Względem reszty — grzeczny.
Z własnym zdaniem nie wypłynę;
Schwycę przyjaźń za czuprynę.

I zostanę adwokatem,
Albo profesorem;
Wszystko zresztą jedno, zatem
Może i doktorem.
Gdzie najłatwiej, tam zawińę
Targać ludzkość za czuprynę.

Za zasadę stawiam sobie,
Że świat jest ladaco;
Zatem i kroku nie zrobię
Gdy mi nie zapłacą.
Ach, już dziś polykam ślinę,
Jak schwycę grosz za czuprynę.

Mając tysiączków w kieszeni
Choć sto, dajmy na to;
Człowiek panie się ożeni,
Rzecz prosta — bogato.
Niby to z miłości ginę...
Potem teściów za czuprynę...

Będę miał milion nareście;
Dukaty! rubelki!
I pójdą szepty po mieście,
Co za człowiek wielki!
Dopieroż nastroję minę!
Będęż darł świat za czuprynę!

Najgorsza śmierć; bo zapewnie
Spotka mnie niestety!
Przynajmniej że rykną rzewnie,
Ach, po mnie gazety!
Napiszą, że w niebo płynę,
Że świat drze za mną czuprynę...

Lecz po co obrazy smutne,
Radość — życia celem;
Pójdę lepiej w bilard utnę,
Potem, z przyjacielem,
Jaśniej moją myśl rozwinę,
Jak brać losy za czuprynę.

1877.

Stary kawaler.

Stary kawaler! Fircyki!
Będzie mnie to wyśmiewało!
»Łysina, nóżki jak tyki...«
Bodaj ich licho porwało!
Jakie mi zuchy! »Mantyka!«
Krew ognia nabiera z laty...
Aj, aj, jak mi w uchu strzyka!
Piotrowa! dajcie mi waty!

Wczoraj był festyn na stawie,
Lecz ja nie miałem humoru;
Na drugi raz, w tej zabawie,
No, daję słowo honoru,
Że tych młokosów uchodzę!
Ja im tu jeszcze pokażę...
Aj, przeklęte darcie w nodze!
Piotrowa! moje bandaże!

Kiedyś, dałem bal dla Frusi;
Była na nim młodzież cała;

Dziewczyna, choćby dać buzi,
Mnie tylko nadskakiwała.
Napatrzyłem się do woli!
I mówią żem zmokła kura...
Aj, aj, jak mnie w dołku boli,
Piotrowa! moja mikstura!

Na onegdajszym rauciku,
Michalinka czarnooka,
Gdy sunął w lotnym walczyku,
Nie spuszczała ze mnie oka.
No, już to lekcyje miłości
Móglby brać u mnie kochanek...
Brr... znów mnie chwytają mdłości!
Piotrowa! dawaj rumianek!

Ha, może się i ożenię;
A toby mi zazdrościli!
Lecz muszę się trzymać w cenie,
Rozważę to w wolnej chwili...
Strasznie na mnie oczkiem strzyże!
Bialutka jak alabaster!...
Aj, dla Boga! moje krzyże!
Piotrowa! nasmaruj plaster!

Co tam! rzecz postanowiona!
Idę do Mińci z wizytą...

Widzę ją, stoi zdumiona,
Śmiejącąca, z minką wpółskrytą,
Jak gdyby się zapierała;
Ale mnie tam nie oszuka,
Będziesz moją, ty, ty, mała...
Piotrowa! moja peruka!

1877.

Prelekcyja.

(Żart etymologiczny).

Dziś, rozbierzemy, panowie
Wyraz *Banialuka*, który,
Mieści w swoim źródłosłowie,
Wątpliwości całe góry.
Wielu uczonych traktuje
Wyraz ten, tak od niechcenia;
Ja przeciwnie, rzecz wysnuję
Z przekonania i z sumienia.

Jeden z naszych mędrców kładzie
Nacisk na sylaby *Ba-ka*;
Sprzeciwiam się tej zasadzie
Uczonego współrodaka.
On z tego punktu wychodzi,
Że ksiądz pisał Banialuki;
To niczego nie dowodzi,
Tak rozumują nieuki.

Drugi chwyta brzmienie *Ba-nia*,
Która, że jest we wnętrzu pusta,

Według jego przekonania,
Wyraz ten kładzie nam w usta.
Ależ nieba najłaskawsze!
To brednia, brednia zupełna!
Bania nie jest pustą zawsze,
Nalawszы ją, bywa pełna.

Inny również źródłosłowu
W pojęciu pustoci szuka;
I radzi nam oto znowu
Brać skrajne sylaby *Lu-ka*.
Etymologię opierać
Na zbiegu skrajnych końcówek!
Z takim niema co się spierać,
Bo to wyraźny półgłówek.

Najsławniejszy badacz, bierze
Sylaby *Lu-ba* i *Kania*;
Kochanka i dzikie zwierze!
Kontrast, według jego zdania,
Ma tu rzecz dobrze malować;
W tem niema najmniejszej racyi;
Możemy mu powinszować
Umysłowej aberracyi.

Jest jeszcze wielki uczony,
Któremu pierwsza sylaba,

Pierwszy dźwięk, byle zdwojony,
 Wytyczną; jak tutaj *Ba-ba*.
 Szanowny uczony w błędzie;
 Bo baba, choć brednie plecie,
 To nie każda i nie wszędzie.
 Różne są baby na świecie.

Ja kwestię stawiam inaczej,
 Z ogólnego stanowiska;
 I każdy z panów zobaczy,
 Jak z zamętu światło błyska.
 Ja zdwijam sylaby razem,
 Co do jednej dla badania,
 I występuję z obrazem:
Ba-ba, Lu-lu, Ka-ka, Nia-nia.

Tu, sam dźwięk poparty wiedzą,
 Stawia na oczy od razu,
 Że tak niemowlęta bredzą!
 Więc tu i źródło wyrazu.
 Ten systemat w mojej głowie
 Wykielkowała nauka.
 Teraz wiecie już, panowie,
 Jak się rodzi *Banialuka*.

Strasznie nienawidzę plotek.

- Czy pani zna panią Różę?
- Przypominam doskonale.
- Wie, pani, ten Jowisz w chmurze,
Nogi miała takie duże,
Kocha się w panu Michale!
- Nie widziałam jej oddawna,
Czy zawsze głupia jak ciele?
- Zawsze jest taka zabawna,
- Ubiera się jak podlotek.
- A, mówiąby o tem wiele,
Ale ja nie lubię plotek.
- Wie pani losy Rafała?
- Czyżby nowy figiel żony?
- A, to jest historya cała,
Podobno go podrapała,
Tak, że aż nos ma czerwony.
- Po ślubie, pani pamięta,
Jak się trzymali za ręce?
- Wiem, Rafał mówił sto święta,

»Moja turkawka! mój kotek...«

Cha, cha, cha, gadają więcej,

Ale ja nie cierpię plotek.

— Zna też pani Władyślawa?

— Wiem, wiem, wiem, dostał odkosza;

— O! to jest zabawna sprawa,

To już na skandal zakrawa,

Wszak panna była bez grosza?

— Ale gdzie tam, nie to wcale,

Panna Emma nie jest biedną;

Więc musi mieć jakieś ale,

Zapytam o nią jej ciotek;

Wprawdzie mi to wszystko jedno,

Ale ja nie znoszę plotek.

— Ja tak samo, to rzecz zdrożna,

— Ma pani zupełną racyę,

— Nie wiem jak obmawiać można,

Ja jestem bardzo ostrożna,

Naprzkład zna pani Gracyę?

— A jakże, skrzecząca czapla!

A pani zna siostrę Jana?

— O! ta to wszystkich przepapla,

Język ma jak kołówrotek;

To samo Helena, Dyana...

Strasznie nienawidzę plotek!

Czy sąsiad czasem czyta?

— Czy sąsiad czasem czyta?

— Nic nie czytam i kwita.

Powiedz mi sąsiad poco?

Na djabła mi czytanie!

Tylko łeb panie

Te piśmidła klekocą.

Ja zresztą, z książką w łapic,

W kilka minut już chrapię.

— Tak, nie przeczę, zapewne,

I ja też nieraz ziewnę,

Trudna bo na to rada;

Tylko że dziś te łyki,

Te, te, dzienniki,

Krzyczę: »Szlachta upada!

«Co gdzie szlachcic, to głupi!

»Żadnej książki nie kupi!«

— Niech sobie plotą baśnie;

Nie kupię! aha, właśnie!

A mnie na co bibuły?
Niechaj się moralami
Częstują sami.
Dla szlachty, artykuły:
To baran, okowita,
Sterta pszenicy, żyta...

— No tak, tak, ani słówka,
Ho, ho, z sąsiada główka!
Jednak czasem niekiedy,
Zajrzeć do pisma należy,
 Niech sąsiad wierzy.
Możebyśmy od biedy,
Które tam z nich we Lwowie,
Trzymali, po połowie?

— Co też bo sąsiad plecie!
Toć i sam mógłbym przecie!
Wszak sąsiad nie posądzi
Żebym ja nie miał za co.
 Lecz pytam na co?
Człowiek dobrze się rządzi,
Co mi książka pomoże?
Zasieje, czy zaorze?

— Nie, lecz tak, dla zabawy,
Człowiek czasem ciekawy

Poznać ludzkie koleję,
Opisuję odkrycia,
Wypadki z życia,
Nasze ojczyste dzieje...
Siądziesz, czytasz w gazecie,
Jakbyś jeździł po świecie,

— Co mnie to tam obchodzi,
Jak w Ameryce rodzi;
U mnie na polu ładnie.
A czy słońce z zachodu,
Czy też ze wschodu
Idzie, czy gdzie upadnie,
Gwiazdy gasną, czy bledną,
To mi to wszystko jedno.

— Tak, zgoda na to, zgoda,
Ale dziś czytać moda.
Mówią, lektura płaci,
Już i na pańskich dworach.
A przy wyborach,
Walor ma też u braci.
Słyszałem to od żony,
Świat kroczy jak szalony.

— A niechże sobie kroczy!
Czytaj sąsiad, trać oczy,

Marnuj zdrowie i siły;
Ale co do wyboru,
Słowo honoru,
Bajki! jak mi Bóg miły!
Mój brat nie czyta całkiem,
A przecież jest marszałkiem!

— No, proszę, nie wiedziałem,
Winszuję sercem całem;
To miłe wiadomości!
O! znałem go przed laty,
 Bardzo bogaty!
Zaraz powiem Jejmości,
Zaraz, za powitaniem.
Niech się schowa z czytaniem.

— Tak, szanowny sąsiedzie,
Na książce się nie jedzie,
Ale na dobrej szkapie.
Te z rozumem konszachty,
 To nie rzecz szlachty,
Mnie na figiel nie złapie!
No, chodźmy na kolację!
— Tak sąsiedzie, masz racyę.

Pan Astolf.

— A pan Astolf! jest przecie!
Witamy kochanego!

Pan żyjesz w wielkim świecie,
Co tam słuchać nowego?

— Byłem w teatrze, w lóży,
Siedział hrabia Ambroży,
I kiwnął, daję słowo,
Czternaście razy głową.

— Panie Astolfie drogi,
Jeszcze o co prosimy!

— Hrabiowie Kozierogi
Nie wyjadą tej zimy.
Właśnie gdym szedł pod ramię
Z hrabią Pysiem, przy bramie
Hrabia Tyś mnie spotyka;
Poszli tam na bezika.

— A, pan Astolf kochany,
Jak mówi to aż miło!

— Dziś u hrabiny Dyany
Lusterko się rozbiło;
Hrabianka Ewelina,
Mówiła mi Regina,
Pokojuówka, że trochę
Przydeptała pończochę.

— Panie Astolfie! jeszcze,
Jeszcze jaka nowinka?
— Hrabia Leoś ma dreszcze,
Hrabia Pipcio ma synka;
Wczoraj, o ósmej z rana,
Lokaj hrabiego Jana,
Niósł do hrabiego Edzia,
Suczkę hrabiego Fredzia.

— A, pan Astolf, to zawsze
Tęga do nowin główka...
— Powiem wam najciekawsze,
Lecz sekret, ani słówka.
Wczoraj punkt jedenasta,
Kuchta hrabiego Piasta,
Oświadczył się Maryni,
Szwaczce hrabianki Dyni.

— Nasz pan Astolf niech żyje!
Może jeszcze co powie?

— Co to? szósta już bije?
Do widzenia panowie!
Dziś, u świętej Brygidy,
Ślub hrabianki Sylfidy,
Muszę tam być, czas w drogę,
Aj, aj, spóźnić się mogę!

1877.

To bardzo być może.

Świat jest głupi, daję słowo;
Dziwią się w gazecie,
Że jakiś profesor, głową
Wsławiał się na świecie.
Ja jeszcze przed ośmiu laty
Bywałem faktorem,
A dziś mam krocze intraty,
I dziesięć wsi z borem.

Bo, proszę, niech mi kto powie,
Co to jest nauka?
Mówić to, co siedzi w głowie,
To niewielka sztuka;
Niech sobie co chcą gadają,
A trudniejsze role
Tych, co niby rozum mają
Wyprowadzić w pole.

Pisać książki! Wielka heca!
Człowiek pióro bierze,

I usiadłszy koło pieca,
Jeździ po papierze.
Ja, ja gdzie się tylko ruszę,
To mam wielką pracę,
Ja wszystkich oszukać muszę,
Bo inaczej traceż.

Uczony! Co mi uczony!
Co po tej robocie?
Czy on ma jakieś miliony,
Albo chociaż krocie?
Za co sławny, że naskrobie
Tam jakichś oracyi?
Ja sto tysięcy zarobię
W jednej licytacji!

Czy on ma choć dwa pałace,
Takie jak ja cztery?
Złote wazy, srebrne tace,
I kamerdynery?
Ja jego widział z wytartą
Na lokciach kapotą,
Z nim nawet gadać nie warto,
On chodzi piechotą!

Aj, aj, kto go taki chwali?
Kto taki? kto taki?

Oni chyba zwarjowali,
 Te wszystkie pismaki?
 Mnie sam książę — hrabia przecie,
 Kłania się i ściska!
 A nigdy niema w gazecie
 Mojego nazwiska!

Ach, jakby to miło czytać,
 Goldberg i pochwały!
 Stąd nawet dałby się schwytać
 Czasem zysk niemały!
 Muszę posłać trzy tysiące
 Na kraj wygłodzony;
 Zaraz będą pisać brzmiące
 O mnie fejletony...

Że jestem pełen zasługi,
 Wielki i ofiarny;
 Potem znów dam, raz i drugi,
 Będę popularny!
 I może być, miasto które,
 Aj, daj, panie Boże!
 Wystawi dla mnie figurę!
 To bardzo być może.

O wieszczko! gdybyś ty chciała!

Wczoraj, całym dzień płakała;
Noc otarła łzy;
Wzruszona, jeszcze drżąca;
Jakie miałam sny!

Świetny salon złotem kapie,
A ja chodzę wciąż;
Przy kominku na kanapie
Siedzi sobie mąż;

Kamerdyner u kotary,
Stoi tuż, jak cień,
Bo pan mąż jest trochę stary,
I głuchy jak pień;

Ja, z wyniosłym ruchem głowy
Zwracam mowę doń,
Pyszny dyadem brylantowy
Zdobi moją skroń;

Wdziewam suknię ogoniastą
Na książęcy bal;
Widzę już jak całe miasto
Rwie zazdrości żal;

Rozległ się turkot karety,
Pan mąż żegna mnie...
Wtem budzę się, i niestety!
Już po złotym śnie!

Wzruszona, jeszcze drzę cała
I patrzę przez łzy;
O wieszczko! gdybyś ty chciała
Ziścić moje sny!

Jakoś to będzie.

— Fredziu! słyszę spadek — brawo!
Winszuję, a no i sądzę,
Że dziś, doświadczony krwawo,
Zechcesz szanować pieniądze.
Bo kto ich się raz pozbędzie...
— No, no, no, jakoś to będzie.

— Widzę, Fredziu, szyk nielada,
Urządziłeś się jak pasza;
Musiałaż cię ta parada
Kosztować, aż mnie przestrasza;
Dukacików ci ubędzie...
— Nie bój się, jakoś to będzie.

— No, cóż Fredziu, przez pół roku
Sto tysięcy djabli wzięli;
Ej, ostrzegam, zwolnij kroku,
Bo jak wpadniesz do topieli,

Nikt cię z niej nie wydobędzie...

— Eh, głupstwo, jakoś to będzie.

— Więc, Fredziu, jesteś w kłopocie;

Podobno, że kruchy z nami;

Fiu! fiu! fiu! i poszły krocie!

I dziś już gonisz resztkami.

Mówią o tem głośno wszędzie...

— Eh, co tam, jakoś to będzie.

— No, teraz Fredziu, siedź cicho;

Dostałeś żonę i wioskę,

Pracujże, by cię znów licho,

Nie wtrąciło w jaką troskę.

Sumienie przyzwij na sędzię...

— Rozumiem, jakoś to będzie.

— A co Fredziu, moje wróżby?

Zrobiła się piękna chryja;

Żona poszła w świat, do służby,

Ty siedzisz na łasce stryja,

I śpiewasz trele labędzie...

— Ha, trudno, jakoś to będzie.

— To ty, Alfredzie, Bóg z tobą;

Cóż to ja widzę? lachmany!

Zlitujże się sam nad sobą!
Od samego rana pijany!
Miej wstyd, mają zdrowie na względzie!...
— Cha, cha, cha, jakoś to będzie.

1878.

Z a s a d y.

Oddycha dla ogółu,
Jasno swój sztandar niesie :
 Waryacya ! Waryacya !
Ssie bliźnich bez skrupułu,
I coraz wyżej pnie się :
 Racya ! racya ! racya !

Stracił i zlikwidował,
Został w jednej kapocie :
 Winny ! winny ! winny !
Trzy razy bankrutował,
Ma składy, sklepy, krocie :
 Czynny ! czynny ! czynny !

Uboga, głodna wreszcie,
Skradła bochenek chleba :
 Złodziej ! złodziej ! złodziej !
Skradł milion — dał na kweście
Aż tysiąc; wielkie nieba !
 Dobrodziej ! dobrodziej !

Pisze, lecz piruetów
Przed mitrą nie wyrabia :
 Zero! zero! zero!
Autorem trzech pamphletów
Na temat: wiwat hrabia!
 Cycero! Cycero!

Pracuje i oszczędza,
Nie poi swe sąsiady:
 Sknera! sknera! sknera!
W sercu i w głowie nędza,
Zaprasza na obiady:
 Wiwat! et caetera...

1878.

U wdowca na wsi.

— Proszę Wielmożnego pana,
Jestem tylko gospodyną,
Lecz nie chcę być malowana;
Widziałam jak dzisiaj zrana,
Staś pokazał język Tyni.
Od czegoż jest guvernantka?
Porządniem jej nagadala;
Ale ta, ta, arogantka,
W oczy mi się roześmiała.
Nie wtrącam w nic mego nosa,
Lecz gdy ma rządzić ta osa,
To ja oto klucze kładę,
Proszę o konie i jadę.

— U ciebie, bracie jedyny,
Jesteś wdowcem, nic dziwnego,
Ładu ani odrobiny.
Guvernantka robi miny,
Pokójówka do niczego,

Dzieci jakieś takie ciche...
Przyjechałam na pół roku,
Lecz gdy widzę twoją pychę,
Nie mogę; na każdym kroku,
Co ja powiem, to ty *ale*...
Wiesz, że nie wtrącam się wcale,
Lecz gdy ganisz moją radę,
Proszę o konie i jadę.

— Panie! ja nie jestem głucha!
Na to się każdy oburzy;
Gospodyn, dziś do ucha,
Siostrze pana, niech pan słucha,
Mówiła, że mam nos duży,
Że ja jestem guvernantką,
To ona mnie lekceważy;
A ona jest intrygantką!
Głupia, mleko jej się warzy,
Pan ma fusy zamiast kawy,
Nie wtrącam się w cudze sprawy;
Lecz gdy mam patrzeć na zradę,
Proszę o konie i jadę.

— Jak dzień dług, proszę pana,
Tak ja zarzynam się pracą,
A gospodyn, do Jana
Mówiła i do Stefana,

Że pokojówka — ladaco.
Guvernantka też złośnica,
Ciągle się tylko maluje;
Wieczór, jak się zgasi świeca,
To ja ich dobrze szpieguję.
Gospodynki wódkę pije...
Ja się nie wtrącam w niczyje,
Lecz gdy mam mieć ciąglą zwadę,
Proszę o konie i jadę.

— Tatku! tatku! proszę tatki!
Stało się coś okropnego!
Staś otworzył do szufladki,
I zabrał moje okładki!
I powiada, że to jego.
Jeszcze się na mnie jendyczy.
Niech mu tatko oddać każe,
I niech go tatko wykrzyczy,
Jak to raz za kałamarze.
Ja nie wtrącam się Stasiowi;
A jak tatko mu nie powie,
No, to ja salopkę kładę,
Proszę o konie i jadę.

Jowisz — dziedzicem.

Jowisz wyprawia śniadanie,
Wódka, bigos, piwo w dzbanie...

Ot, po szlachecku;
Kotka mruczy na przypiecku,
A przy stole sobie siedzą:
Merkury, Pallas, Cerera,
Mars, Dyana, Neptun, Wenera.
Gawędzą i smacznie jedzą.
Jeden Jowisz ciężko wzdycha,
Macha ręką i klinie z cicha.

Wreszcie rzecze: Goście mili,
Jakbyście też postąpili,
Uciąwszy bąka?
Wszyscy milczą, Jowisz chrząka,
I rzecz swą prowadzi dalej:
Oto dla głupiej ambicyi,
Zakupiłem wieś w Galicyi.
Bodaj mnie djabli porwali!

Już nie wytrzymam i zginę.
Zaraz wam powiem przyczynę.

Kupiłem — było to z wiosną;
Toż, myślę, odetchnę sosną!

Jadę więc panie ...

Masz sosnę! na przywitanie
Sprawa: Maciek pobił Jana,
Przewróciły się stodoły,
Zdycha mi koń i dwa woły,
Ekonom pijany od rana,
Na polu chwast zainiast żyta,
W izbie leje się z sufita ...

Dość, że w ciągu dwóch miesięcy,
Wykładam dziesięć tysięcy,

A po kwartale,

Mam trzy sprawy w trybunale,
Na karku raty bankowe,
Nieopłacone podatki,
I od podatków dodatki...
W końcu straciłem już głowę.
Ja to przypłacę chorobą!
Radźcie, co mam robić z sobą?

— Eh, powie Wenera, sądzę,
Że na wsi grunt — to pieniądze.

Więc w przyszłe lato,
Jowisz, żeń się bogato.
Aj, rzecze Jowisz, zielono
Masz w głowie Wenero miła!
Czy cię pamięć opuściła?
A cóż ja zrobię z Junoną?
I westchnął jakby miał ranę,
I czule spojrzał na Dyanę.

Ta mówi: Gdybym wieś miała,
Cały dzień bym polowała,
Tak miło w lesie!
Przytem lów i zyski niesie.
Ach! lisy! niedźwiedzie! dziki!...
— Czemuż nie lwy i lamparty!
Woła Jowisz; wolne żarty;
U mnie, proszę dobrodzieci,
Zwierzyna: w stajni — kot bury,
A no — i myszy i szczury...

Z kolei Neptun powstanie,
I prawi: Grunt — drenowanie.
Tak jest panowie!
Dobrobyt spoczywa w rowie.
Suszyłbym i maczał pola.
Wszędzie zakładałbym rury...
— Zwłaszcza gdy w kieszeni dziury,

Przerwie Jowisz, wolna wola,
Maczaj sobie gdy masz grosze;
Merkury, powiedz co, proszę.

— Ja, powiadam — bez namysłu
Rzecze tenże — brak przemyślu.
Znalazłbym racyę
Na trzy nowe propinacyje,
Sprowadziłbym sobie żyda,
I spoił pół Europy.

— Ba, ba, gdyby piły chłopy!
Rzekł Jowisz, nie piją, bieda!
Cały więc twój projekt — zero.
Może ty co wiesz, Cerero?

— Ja ci radzę, mój kochany,
Powie Ceres — płodozmiany.
Zmieniaj: buraki,
Żyto, wyka, pasternaki...
To kłosy, to znów lodyga.
— Probowałem! Probowałem!
Woła Jowisz, przemieniałem!
Została mi w zysku — figa!
Figa z makiem, na gorąco.
Cóż Pallas dziś tak milcząca?

— Żał mi cię, mówi, żeś struty,
Minerwa. — Kozłowe buty,

Klucze u boku,
Praca od rana do zmroku,
Tego się chwyć — pójdą sprawy.
Jowisz westchnął, trudne drogi...
Mówi, człowiek ma nałogi...
— No, to Jowiszu łaskawy,
Rzecze Pallas, niema rady,
Zejdźiesz kochanku na dziady.

1878.

Boże! Jaka ona głupia!

— Ależ mateczko kochana,
Ja jestem zawsze jednaka;
Tak samo dla pana Jana,
Jak i dla pana Dydaka.

— Nie, nieprawda, kłamiesz Maniu,
Dzisiaj zrana, po śniadaniu,
Siedziałaś moje kochanie,
Cały czas przy panu Janie.

— Ależ mateczko jedyna,
To pan Jan sam, mówię mamie,
Siadł przy mnie; mojaż to wina?
Jak mamę kocham nie kłamię.
Czemuż pan Dydak nie siada?
Byłabym tak samo rada
Jednemu jak i drugiemu.
Przecież siąść wolno każdemu.

— Pan Dydak nie jest bałwanem,
Dobrze patrzy w twoje oczy,

Serce ci za panem Janem
Ledwo z piersi nie wyskoczy.
Jest za kim! wielka nowina!
Jakiś tam urzędniczyna!
Dwa tysiące złotych rocznie!
Ciekawam co z żoną pocznie?

— Ależ mamo moja złota,
On o mnie nie myśli, może,
Ot, tak, przyjdzie mu ochota,
Siądzie, rozmawia... mój Boże!
Przecież mama nie zaprzeczy,
Że on jest bardziej do rzeczy,
Niż pan Dydak, co na świecie
Ideał widzi — w kotlecie!

— Każdy pan bywa łakomy,
Ma na to, bo jest bogaty;
Posiada dobra, dwa domy,
Ze sto tysięcy intraty...
Gdybyś ty rozumną była,
Tobyś mu się przymiliła...
Dwie, trzy powłoczyste miny...
Byłyby twoim w pół godziny.

— Ależ ja nie mam ochoty!
Przytem, byłoby... nieskromnie.

Przecież mu nie powiem: złoty,
Dydaczku, siadaj koło mnie.
Wreszcie, jeśli chcesz z córeczką
Twoją... rozstać się, mateczko,
To, moja złota, kochana,
Ja... ja wolę pana Jana.

— Maniu! co się z tobą stało!
Tobie widzę romans w głowie!
Taką partyę doskonałą —
Puszczać! Co świat na to powie!
Dziecko, brak ci doświadczenia,
Po ślubie wszystko się zmienia.
Powoli... pana Dydaka
Pokochasz, no, daj buziaka...

— Mamo! on taki paskudny!
Z każdym się kłoci i droczy!
Taki nieużyty, brudny...
Tak śmiesznie wyłupia oczy...
— Maniu! tyś chyba szalona!
Pan Dydak! taka persona!
Pan Dydak! oczy wyłupia!
Boże! jaka ona głupia!

A co? nie mówiłem!... krowa!

To ci kumie tęga zima!
Ja tu już godzinę stoję,
A numerów jeszcze niema.
Dziś, to przyjdą chyba moje,
Bo miałem sen jak na dłoni.
Ja nie tak jak kum Antoni,
Co we śnie leciał do rzyki,
A postawił same byki.

U mnie kumie to tak było:
Nad samem ranem, we wtorek,
Najwyraźniej mi się śniło,
Żem Turka pakował w worek.
Na Turku siedział kot bury,
Z żółtym ogonem do góry;
A w lewo, sterczał z kałuży,
Rybi ogon, na sęg duży.

Myślę sobie, widzieć Turka,
Jedenastka, ani chybi;

Kot — no to wiadomo — czwórka.
Ale kumie ogon rybi,
Rybi ogon, państwo moi?
Patrzę w sennik, jak byk stoi:
Ogon rybi brać przez chustkę:
Fortuna — stawiaj na szóstkę.

Idę — odchodziło Berno.
Żyd pyta jakie numery?
Pisz, mówię, psia wiaro, terno:
Jedenaście, sześć i cztery.
Pisze, pyta wiele idzie?
Pięć reńskich, powiadam, żydzie,
Myślę sobie, pal go kaci!
Jak wygram, to się opłaci.

Tylko się boję jednego:
Że mi we śnie coś ryczało.
Nuż krowa, broń Boże, czego,
I nule kłaść należało.
Ale nie, nie, toč w przededniu,
Trzy nule wyszło na Wiedniu.
Skądżeby znów, z jakiej racyi?...
Tu potrzeba kalkulacyi...

Czekaj kum, idą numery!
Jak Boga kocham! Trzydzieści,

Pięćdziesiąt, dwadzieścia cztery,
Osiemdziesiąt i czterdzieści!
A niechże ich biją kule!
A to heca! Same nule!
A niechże ich piekło schowa!
A co? nie mówiłem!... krowa!

1879.

Tak kolego.

— Tak kolego... dziwne zmiany!
Dawniej byłeś jak krew z mlekiem.
Dziś — blady, nędzny, złamany,
Gdy ja, chociaż starszy wiekiem,
Patrz! ścięgna mam jak stalowe.
Ręce, nogi — wszystko zdrowe.
Wytlomacz-że mi to bracie,
Bo ja tego nie pojmuję?

— Ha, pewnie codzień jadacie,
A to, widzisz, konserwuje.

Bravissimo !

— Posłuchaj : ryzykowałem ;
I tak mi na wszystkie strony
Wiodło się w szczęściu zuchwałem,
Żem w rok zarobił miliony.

— Bravissimo ! szedłeś śmiało,
To też ci się i udało.
Odwaga — rzecz znakomita.
Stachu, masz rozum i kwita.

— Poczekaj, daj skończyć bracie ;
To był początek — a dalej,
Strata mnie biła po stracie,
I wszystko djabli porwali.

— Najuniżeniej dziękuję !
Kto to dzisiaj ryzykuje !
Na takim zawsze się skrupi.
Stachu, wiesz co — jesteś głupi.

Co mi to była za kasa!

— Dziwisz się i robisz wrzawę
Że nikt się z tobą nie wita,
Przypomnij sobie Warszawę:
Okradłeś kasę i kwita.

— To świat na tym koniu hasa!
Jezus Maryja! no, no, proszę,
Co mi to była za kasa!
Sto złotych i cztery grosze!

Niegodziwy.

Helenko! żal, żal szalony,
Przygniata mój umysł tkliwy.
Mój August, mój narzeczony,
Zdradza mnie, jest niegodziwy!

Gdym mu pisała przed rokiem,
Na próbę, że mu nie wierzę,
Mówił z uczuciem głębokiem,
Że sobie życie odbierze.

Dziś, na wymówki najkrwawsze,
Na groźby klasztornej celi,
Pisze — że kocha mnie zawsze,
Ale się już nie zastrzeli!

To zupełnie inna kwestya.

Ci chłopi, to dziwna rasa:
Odwieczny wstręt do oświaty,
Nic a nic w nich nie wygasza.
Propagandy, systematy,
Ankiety, stowarzyszenia...
Wszystko idzie jak z kamienia.

Wczoraj, chcąc obejrzeć studnię,
Idę... stoi chłop przy chacie;
Więc mówię: dobre południe,
Iwanie, cóż tak dumacie?
I gawędząc z nim troszeczkę,
Oferuję mu ksiązeczkę.

Kładę w głowę jak łopatą,
Że są ciemni i niedbali,
Że jedyny środek na to,
Żeby książki kupowali.
Że to nie jest żaden zbytek,
A przyjemność i pożytek.

W końcu pytam: Cóż Iwanie?
A on mówi, z kwaśnym giestem,
»To prawda, Wielmożny panie,
»Tylko że ja głodny jestem«.
Głodny! Co za dzika bestya!
To zupełnie inna kwestya!

1881.

Jaki dowcipny i miły!

— Pipciu, duszko, na śniadanie
Możebyś zjadł konfiturek?
Moje ty złote kochanie!
Chcę żebyś utył jak Turek!

— Figa z makiem! jeszcze czego!
Wielki mi bal! konfitury!
Zjadłbym, ale co innego
Omlet i potrawkę z kury.

— Zaraz, moja ty pieszczołko,
Zaraz każę zrobić Rózi,
Jak chcesz, kwaśno czy też słodko?
A tymczasem daj mi buzi.

— Mama zawsze głupstwa gada,
I tak mam już krawat zmięty!
Mnie w głowie inna parada,
Daj mi mama pokój święty!

— Cha, cha, cha, cha! Boże wielki!
Ze śmiechu aż tracę siły!
Pipciu, na, masz, na karmelki!
Jaki dowcipny i miły!

1881.

Wszystkim dogodzić nie można.

Świat ten jest siedliskiem nędzy,
Gdzie spojrzeć to się rozparła!
Tak potrzebuję pieniędzy,
Że djabłu-bym wydarł z gardła.

Żona w Ems, i to za cudze,
Andzia mówi, że ją nudzę,
Długów po uszy,
Żyda i łzami nie wzruszy,
Nie da, na najbliższe cele!
Do licha, w łeb sobie strzelę!

Nie. Samobójstwo w praktyce,
Rzecz głupia... traci waryacyję...
Niema co, środka się chwyceć,
Co dziś jest *ultima ratio*.

Jestem kasyerem, więc z kasy,
Pożyczę, a w lepsze czasy,

Napowrót włożę.
A gdyby?... Wszystko być może...
Ha, zrobię jak pan Makary,
Wziął grubo — adieu świat stary!

Będzie wrzask, wiem, mnóstwo osób
Ryknie, że to jest rzecz zdrożna...
Ba, niech dadzą lepszy sposób?
Wszystkim dogodzić nie można.

1881.

Powołanie.

(Żart artystyczny).

Nad przyszłością moich dzieci
Medytuje od tygodnia.
Jest ich kilkoro, czas leci,
Zaniedbać — byłaby zbrodnia.

Ówóż, po głębszym namyśle,
Doszedłem, zważywszy ściśle
Wszystkie *pro* i *contra* liczne,
Że jedyne powołanie,
Co warte coś, jest, mospanie:
Teatralno-artystyczne.

Taka Patti primadona,
Taka Nilson, taki Rossi,
Rykną — i — chap pół miliona,
I świat ich na ręku nosi.

Tak jest. Lecz żeby dzieciaki,
Pokochały żywot taki,

By życie ich zrobić miłem,
Wpadłem na myśl, że do tego
Trzeba je giąć od małego;
I dzisiaj — wszystkie obiłem.

Wrzeszczało to w niebogłosy;
Doskonale, tego chciałem;
Niechaj urabiają głosy,
Niech gonią za ideałem.

Wprawdzie, może im ponura,
Odmówić głosu natura;
Bywają losy złowieszcze!
To nic, ja i tak te młode
Duchy, na Parnas powiodę,
Mam dramat, mam balet jeszcze.

Może tylko wolną porą,
Zmienię system edukacyi...
Nie, nie — będę bił — nabiorą:
Pozy i giestykulacyi.

O p i n i a.

Mój przyjaciel Kalasanty,
Był mężem niezwykłej miary;
Jadł, pił, pożyczał na fanty,
I ciułał bite talary.

Za jakąś wekslową chryzę
Przesiedział rok na uboczu,
Raz dostał w twarz, a raz kije,
Potem straciłem go z oczu.

Nagle, widzę go w Tryjeście,
Z duszą cokolwiek zbołałą;
Miał on majątek nareszcie,
Ale humoru zbyt mało.

Biedak, lękał się opinii;
Stał się drażliwy i dziki;
Do brata, gdzieś tam w Wirginii,
Chciał jechać, do Ameryki.

Odradzałem, zostań rzekłem,
Spocznij po żywota trudzie;
Kraj nasz, nie jest jeszcze piekłem,
Wierz mi, i u nas są ludzie.

Został. Podobno we Lwowie
Otwiera dom. A Wirginia?
Głupstwo, ani mu już w głowie.
Pojechała tam opinia.

1881.

Patrz, jaki wieczór wspaniały!

Patrz, jaki wieczór wspaniały!
W powietrzu wonne etery,
Blady księżyc, groźne skały,
Dziwne, tajemnicze szmery,
Toń jeziora srebrno sina,
W mgły opowita dolina...
Wierz mi, mało kto mój Stasiu,
Wszechświat tak, jako ja ceni.

— Wierzę ci, wierzę Ignasiu,
Masz sto tysięcy w kieszeni.

Guciu! w którym to miasteczku?

Do mojej kochanej ciotki,
Hermenegildy, dewotki,
Mówiłem: Ciociu kochana!
Dzisiaj, od samego rana,
Pałam myślą uroczystą.
Pragnę zostać komunistą.
Słysząc to ostatnie słowo,
Ciotka spojrzała surowo,
Twarz jej oblał kolor trupi,
Rzekła: Guciu, jesteś głupi!

Naprózno kochanej ciotce,
Hermenegildzie, dewotce,
Mówiłem i przedstawiałem:
Walkę pracy z kapitałem,
Łzy ludu przez długie lata,
Grzechy moźnych tego świata,
Przesądy wielowiekowe...
Ciotka wzięła się za głowę,

Przeżegnała się i — wściekła,
— Guciu, zwaryowałeś — rzekła.

Kiedy tak kochana ciotka,
Hermenegilda, dewotka,
Zgorszona zwraca oczy,
Rzecz o małżeństwie się toczy,
Jak komunizm je roztrąca,
Jak co każdego miesiąca,
Nowy mąż i nowa żona...
Tu, ciotka wstała wzburzona,
I rzekła : Guciu, koteczku,
Guciu, w którym to miasteczku ?

1882.

Znam, znam, znam, dokończysz jutro.

— Jakże twój brat z swojem zdrowiem?
— Kiepski, zaraz ci opowiem.
Wypadek, nie jego wina:
Moja ciotka, Genowefa,
Miała przy sobie kuzyna;
Zdaje mi się że Józefa,
Jeżeli nie Antoniego.
Owóż tedy, pan Antoni,
Czy Józef, mniejsza już o to,
Bo to niema nic do tego,
Był człowiek, że niech Bóg bronii.
Owóż raz, a było błoto,
Powiadam ci po kolana.
Bo deszcz lał prawie od rana,
Co ja mówię, od północy!
Nie, od rana, dobrze mówię!
Owóż, budzę się ja w nocy,
Chcę wyjść, patrzę gdzie obuwie,
Niema; piękna mi parada!

Przyznam się, że to nie miło:
Myślę tedy co ja zrobię?...
A tu pada, pada, pada...
Czekaj! nie! to nie tak było!
Teraz przypominam sobie:
To u wuja Hieronima!
Nie u ciotki! Była zima,
Takie śniegi i zawieje,
Że jakem jechał do lasu,
Myślałem że oszaleję.
Będzie temu kawał czasu:
Czekaj, rok byłem w Warszawie,
Półtora roku w Krakowie,
Rok znowu na wsi — a zatem —
Tak jest, cztery lata prawie.
Owóż tedy, jak się zowie?
Aha, miałem jechać z bratem.
On miał interes do stryja,
Mnie trochę bolała szyja,
I w uchu miałem strzykanie.
Zaziębiłem się na wiosnę,
W lesie, pilnowałem panie,
Żydów, jak ścinali sosnę.
• Owóż, mróz był jakich mało,
I mróz i wiatr, zwłaszcza nocą,
Aż się iskrzyło na niebie,
A pod nogami skrzypiało...

Myślę sobie, jechać? po co?
A brat, wkłada już na siebie
Futro; ty znasz jego futro?
— Znam, znam, znam, dokończysz jutro.

1882.

Kiedym raz, pełen zapału...

Kiedym raz, pełen zapału,
Pytał osobę dostoijną,
Czemu nie bierze udziału
I dłonią nie wspiera hojną,
Naszych banków i kolei...
Rzekła mi: tak, bez wątpienia,
Sam jestem pełen nadziei,
Że finansowe zakłady
Obudzą kraj z odrętwienia,
I zgoją to, co go boli.
Są one dlań, bez przesady,
Tem, czem jest nawóz dla roli.
Tak, to nawóz pożądany.
Tylko, że, panie kochany,
Wszyscy ci, którzy go ruszą,
Widzisz, powalać się muszą.

Mając chęć żenić się właśnie...

Mając chęć żenić się właśnie,
Takie jak ja zrobić fiasco!
Niech go jasny piorun trzaśnie!
Bestyę Fredzia z taką łaską.

Wczoraj, u ciotki Anieli,
Patrzę, oho! coś nowego!
Panna. Patrzę, cała w bieli,
Jak Boga kocham, niczego!

Blondyna, oko błękitne,
Wysmukła, istna syrena;
Pysio białe, aksamitne,
Na imię miała Helena.

A więc z miną uroczystą,
Przedstawiam się jej i mamie;
Ona patrzy powłoczysto,
Jak Boga kocham, nie kłamię!

Rozmawiam z nią nieco dłużej,
Cudowna! ale finalnie,
Emabluję pannę Różę,
Która coś ma, naturalnie.

Panna Helena się wścieka,
Mnie pali coś jak zarzwiem,
Ale się trzymam zdaleka,
Bo, ostatecznie nic nie wiem.

Dopiero aż na ulicy,
Fredzio powiada: mniej więcej...
Wieś, folwark, pół kamienicy...
Będzie miała sto tysięcy.

Kto, pytam, tak pachnie złotem?
A ta, powiada, blondynka.
A ty skąd, mówię, wiesz o tem?
To, mówi, moja kuzynka.

I tyś, wołam, milczał człece!
A kiedy mu głowę mydle,
»Miałem ci powiedzieć, rzecze,
»Alem zapomniał«. — To bydlę!

Ach, mój Boże! Ach, mój Boże!

Gdy myślę, jak nieraz zwierzę
Szczęśliwsze jest od człowieka,
Szalona mnie zazdrość bierze.
Patrzę: pies na dziada szczeka,
A dla pana, przez kij skacze,
Choć mu ten garbuje skórę.
Szczęśliwe plemię sobacze!
Gdybym miał jego naturę,
Byłbym dziś starostą może.
Ach, mój Boże! Ach, mój Boże!

Patrzę dalej, wieprz spasiony
W ogrodzie warzywnym hula.
Już zrył marchwi dwa zagony,
Teraz ryje gdzie cebula.
A choć go wyszczaję bywa,
Lezie po raz nie wiem który.
Co za istota szczęśliwa!
Gdybym ja był jej natury,

Byłbym dziś bankierem może!
Ach, mój Boże! Ach, mój Boże!

Patrzę znowu, z szczupłą główką,
Indyk po dziedzińcu kroczy.
Ledwo gdzie kto piśnie słówko,
Krwią mu zabiegają oczy,
I bulgoce niecierpliwy,
Trąc o ziemię skrzydła bure.
Jaki ten indyk szczęśliwy!
Gdybym miał jego naturę,
Byłbym dziś krytykiem może!
Ach, mój Boże! Ach, mój Boże!

Albo, patrzę, w pośród drogi,
Stoi cielę nakrapiane.
Rozkraczyło pięknie nogi,
I ryczy jak opętane.
W dnie powszednie i w niedziele,
Ryczy, zdarlszy ogon w góre!
Jakie szczęśliwe to ciele!
Gdybym miał jego naturę,
Byłbym dziś tenorem może!
Ach, mój Boże! Ach, mój Boże!

Alfonsie! ach! ja się nudzę!

— Alfonsie! ach! ja się nudzę!

Alfonsie! ja jestem słaba!

Alfonsie! ja głodna jestem!

— Dobrze Emciu, twemu śluźce

Rozkaż. Co chcesz? Jest tu baba,

Są pączki, ciastka z agrestem...

— Nie, nie zgadniesz moje złotko,

Chociaż z ciebie taki majster.

Ja chcę ni kwaśno ni słodko,

Ja mam chęć na, na, na... klajster.

— Klajster? a to co nowego!

Emciu, to są chyba żarty!

— Klajster, klajster, cóż w tem złego?

Idź, przynieś, nie bądź uparty.

— Emciu, pomyśl tylko chwilę,

To są fantazye potrosze...

— Ja nie chcę myśleć i tyle,
Chcę klajstru!... tak ładnie proszę!

— No, no, masz ledwie dostałem,
Kapryśnik z mojej żonusi;
— Fonsiu, jesteś ideałem!
Skosztuj, to dobre być musi.

— Co? klajster! jako Bóg żywego!
Nigdy! sługa uniżony!
— Fonsiu! jesteś niegodziwy!
Fonsiu! ty nie kochasz żony!

— Kocham, ale nie zjem przeto.
— Alfonsie! odrobineczkę!
— Ach, ty okrutna kobieto!
— Alfonsie! jedną łyżeczkę!

— No, dobrze, brrr, obrzydliwe!
— Nieprawda, bo smakowało!
— Fe, szkaradne, kwaśne, cekliwe!
— Bo, Fonsiu, zjadłeś za mało.

— Proszę cię, zjedz jeszcze trochę!
Zobaczysz jakie to smaczne!
— Emciu, to są żarty płoche!
— Fonsiu, bo się gniewać zacznę!

— No, jem, jem, mój ty aniele!

— A co, prawda? doskonałe?

Zjedz resztę, już tak niewiele!

Patrz, pół miseczki nie całe!

— Dla ciebie nic nie zostanie!

— Zjedz wszystko, nie chcę inaczej!

— Emeczko! nie jestem w stanie!

— Alfonsie! bo się rozpłaczę!

— No, już, już, co chcesz to robię!

Daj buzi moje małeństwo!

— Fe, czuć cię klajstrem, idź sobie!

Nie chcę! fe, fe, szkaradzieństwo!

— Emciu, toż tę obrzydliwość

Jedząc tobie ulegałem!

Aj, aż dostałem oskomy!

— Co? mnie? a to sprawiedliwość!

Nieprawda, jadłeś z zapalem,

Fonsiu! jaki ty łakomy!...

Nie, to skandal, jakich mało.

— Nie, to skandal, jakich mało!
— Cóż się stało mój kochany?
— Zmarzłem jak pies, to się stało.
A to dopiero bałwany!
Wystaw sobie, jestem w mieście;
Mróz, na niebie ani chmury,
Aż tu narodu ze dwieście
Stoi i patrzy do góry.
Patrzę i ja; na kominy,
Na dachy... precz dookoła;
Patrzę z jakie pół godziny,
No i nic nie widzę zgola.
Więc pytam się najbliższego
Tuż obok siebie sąsiada,
Co to się stało takiego?
»Nie wiem«, sucho odpowiada.
Pytam drugiego — nic — cicho,
Pytam baby i ta nie wie.
Myślałem sobie, pal ich licho!

Pójdę już; bo byłem w gniewie.
Albo nie; ludzie się roją,
Poczekam chwileczkę małą;
Przecież jak głupcy nie stoją.
Oto co się pokazało:
Jacyś dwaj się założyli,
Że gdy kto stanie przed bramą,
I spojrzy w góre, — po chwili,
Sto osób zrobi to samo.
I proszę cię, trzy godziny
Tłum stał tak, na środku drogi,
Z łbem do góry, bez przyczyny.
Najbardziej mi zmarzły nogi,
Choć tłukłem jedną o drugą;
Bodaj ich djabli porwali!
— Dlaczegoś stał tak długo?
— A dlaczego oni stali?

1885.

List panny Dory do panny Eleonory.

Najdroższa Eleonoro!
Duchu mój bliźni!

Jestem znudzoną, złą i chorą!
Och! ci mężczyźni! ci mężczyźni!
Szakale! tygrysy! szatany!
Jak wiesz, oddawna wyglądany,
Przybył nareszcie w nasze strony,
 Ideal epuzera.
Przystojny, ślicznie ułożony,
Bogaty, będę z tobą szczera,
Pan Adam, wpadł mi zaraz w oko.
Przecież kobietą jestem, nie opoką!
Eleonoro moja ukochana!
Upłynął miesiąc; cała okolica
Najmocniej o tem była przekonana,
Że to o mnie pan Adam się stara.
Tak często bywał w naszym domu!
Aż oto wczoraj, gdym w blasku księżyca

Marzyła błogo, wpada ciotka Klara,
I mówi do mnie: Słyszałaś, pan Adam,
Dziś się oświadczył; no i zgadnij komu?

Kłamstwo, powiadam,

Zrobiło mi się słabo.

Eleonoro! ideale drogi!

Żeni się, żeni, ach! z tą płaską żabą!

Marynią, co nasadza kury!

Co chleb piecze! co lepi pierogi!

Masło waży! gotuje konserwy!

Bez obcasów chodzi i turniury!

O nerwy! moje nieszczęśliwe nerwy!

Leonoro! on jeszcze w niedzielę,

Ten potwór, był u nas z wizytą.

Mówił, że widział mnie w kościele,

I śmiejąc się, półżartem, nibyto,

Wszczął dyskurs o toalecie.

Wspomniał, że nigdy, za nic w świecie,

Nie chciałby żony mieć w turniurze.

Twarz moją oblała purpura!

Stłumiłam jednak serca mego burzę,

I mówię cicho: ach, panie Adamie!

Jakiż ma związek miłość i turniura?

Ależ ma, pani, ma, ma, odpowiada.

Zresztą nie cierpię wszystkiego co kłamie.

Nikczemna zdrada!

Mogłamże sądzić, że mówi na seryo?

Gdy myślę o tem, drę w złości chusteczkę,
I gdybym mogła, tobym wszystkich biła.
Przebrzydły potwór z tą swoją pruderyą!

Leonoro miła!

Jeśli mnie kochasz choć odrobineczkę,
Na złość mężczyznom, dajmy sobie słowo,
Nosić turniurę — wiecznie, dwupiętrową.
Odpisz mi prędko, różyczko złota,

Aniele bliźni!

Ściskam cię czule — twoja — Dorota.
Mężczyźni! Och, ci mężczyźni!

1885.

Raz jakoś, gdy się zgadało...

Raz jakoś, gdy się zgadało,
Że honor dziś górę bierze,
Bo przeniewierstw mamy mało,
Ktoś rzekł: bardzo temu wierzę.
Lecz chciałbym wiedzieć dokładnie,
Kiedy mowa o honorze,
Czy taki, który nie kradnie.
Kraść nie chce, czy kraść nie może?

1885.

Emilio! mówił mi czule...

Emilio! mówił mi czule,
Kocham cię! uwierz mi, proszę!
Ty nie wiesz, jakie ja bóle,
Przez ciebie, w mej piersi noszę!

Emilio! mówił namiętnie,
Czy ty mnie kochasz, aniele?
I patrzył w oczy tak smętnie,
Gadał tak wiele, tak wiele...

A gdy mnie ujął w ramiona,
A ja go, patrząc łaskawie,
Odpycham i rozemdlnona,
Oszczędź mnie, szepczę, Gustawie!

Przecież nie mogłam inaczej!
On łamie ręce, przysięga,
I... i odchodzi w rozpaczycy.
Uwierzył mi!... Niedolega!

No, co tam słychać kolego?

— No, co tam słychać kolego?

— Ot tak! muszę też koledze
Powiedzieć coś cudownego.

Wczoraj, gdy z fajeczką siedzę,
Wołają mnie do pacjenta.

Idę, patrzę, źle, umiera.

Anasarca rozwinięta,

Breit, Schock, Coma, et caetera.

Pakuję go do kąpieli;

Kurcze, masz tobie, myślałem,
No, że go już djabli wzięli.

Wtem, zatrząsł się całym ciałem,
I otworzył lewe oko.

Myślę, przesilenie chyba.

Skrzywił się, westchnął głęboko...

Brawo! będzie zdrów jak ryba!

O co chcesz, to się założę;

Niech-no drugą kąpiel palnie!

Nagle — fajt! — Co umarł może?

— Umarł, bardzo naturalnie.

Gdy w oratorskim zapale.

Gdy w oratorskim zapale,
Wołałem: »Wiwat Warszawa!«
Szmer uznania przebiegł salę,
I dostałem wielkie brawa.
W pół godziny może potem,
Zwołałem: »Precz z Warszawą!«
Salon rozległ się chichotem,
I dostałem — wielkie brawo.

1886.

Gramatyka.

Hamilkar, Kartaginy wódz,
By swą nienawiść Rzymu módz
Przelać na swego syna,
Rzekł: — Hannibalu, chłopcze mój,
Przysięgnij Romie krwawy bój,
Gdy przyjdzie twa godzina.

— Papo, Hannibal na to rzekł:
Nie będę Rzymian siekł ni piekł,
Będę ich kochał raczej;
Bo chociaż jestem jeszcze smyk,
Wiem co to polor, co to szyk,
I co kultura znaczy.

— Ha, rzekł Hannibal, kiedy tak,
To niech mnie morski pożre rak,
Niech polknie ziemia święta,
Jeśli przeżyję taki srom.
I każe wnet, za uszy, w dom
Ciągnąć priwat-docenta.

— Masz, rzecze, złota pełny dzban,
 Będzie mi uczył za to pan,
 Syna łacińskiej mowy.
 Docent się skłonił mu w sam pas,
 I *Terrocinium* z togi wraz,
 Wyjął i był gotowy.

Hannibal zrobił kwaśny giest,
 Siadł i morduje: *Terra est
 Rotunda et globosa...*
 I szło mu nieźle jakiś czas;
 Lecz w deklinacye skoro właził,
 Dreszcz przeszedł go i zgroza.

A gdy pomimo trud i pot,
 Ugrzązł w wspanialem: *Qui, quae, quod,*
 Na wierzch mu wyszły oczy.
 Wreszcie gdy spotkał piękne *Haec*,
 Hannibal wydał straszny bek,
 I wprost do ojca kroczy.

— Papo, powiada, schnę jak lisć,
 Nie mogę tej łaciny zgryźć.
 To zdrowiu mi nie służy.
 Stary Hamilkar zmarszczył skroń,
 Wziął go za ucho i rzekł doń:
 — Idź precz i ucz się dłużej.

Hannibal znów na stolku siadł,
A choć przy *Modus* nic nie jadł,
Przy *Praesens* nie spał wcale,
Choć przy *Perfectum* zaniemógł,
Choć go *Gerundia* ścięły z nóg,
Wciąż uczy się zuchwale.

Aż gdy przelykał *Supinum*,
Powstał mu w głowie trzask i szum,
I djabli go już brali.
Więc gramatykę, niby cep,
Porwał, docenta palnął w łeb,
I znów do ojca wali.

— Papo! zwoła, dość już mam!
Niech piorun trzaśnie *Quod i quam*,
I całą tę robotę!
Przysięgam, że obrzydły Rzym,
Z jego *quiquam*, puszczę w dym,
I z kuli ziemskiej zmiotę.

Hamilkar chciał mu wskazać drzwi,
Lecz widząc, że w młodzieńcu tkwi
Do Rzymu niechęć sroga,
Rzekł: — Zgoda, teraz masz już dość,
Widzę, żeś moja — z kości kości,
Że nienawidzisz wroga.

Mam komu mój przekazać miecz,
Docent niech sobie rusza precz,
Wołać Arcykapłana!
Niech na uczczenie tego dnia,
Bogom w ofierze kozła da,
Koguta i barana.

A ty, kochany synu wiedz,
Że albo Roma musi ledz,
Lub boska Kartagina.
Gdyby więc stygła wściekłość twa,
Bierz gramatykę, niech ci ta
Przysięgę przypomina.

Jak Rzym Hannibal potem bił,
Jak swej przysiędze wierny był,
Spytajcie historyka.
Ja tylko powiem, że ten cud,
Nie sprawił gieniusz, ani trud,
Sprawiła — gramatyka.

Jam jest ten oto, który jest.

Jam jest ten oto, który jest;
Mam nos i oko, smak i giest,
Żywota kardynalne cnoty.
Gdy ujrzę ziemi potentata,
Wnet pełen dziecięcej ochoty,
Podążam, gdzie mnie niosą fata,
Ostrożnie, cichutko, wesoło.
Najprzód obchodzę go w około,
I wącham, wącham, wącham długو.
Potem mu śmiało lezę w oczy,
I grzeczną staję się papugą.
Szczebioczę mu, że jest uroczy,
Że szlak ludzkości on wytyka...
Dalej rzecz wiedzie gimnastyka,
Jaśnie Wielmożna wnet persona,
Mizernej głowy, zacna dusza,
Uznaje mnie za Salomona,
I jak jej zagram, tak się rusza.
Mam zysk i blask; a choć mnie zwą
Niektórzy błaznem, — no, to co?

Siedmioletniego raz, syna...

Siedmioletniego raz, syna,
Przywiozłem z sobą do Lwowa.
Głupiutka była dziecińca,
Zwyczajnie, na wsi się chowa.

Więc każdy szczegół stolicy,
Budzi w nim zachwyt szalony;
Podziwia wielkość ulicy,
Wielkie psy, wielkie frontony,

I wielkich ludzi do woli,
Chodzących z wzniesioną głową.
I zaszliśmy, tak, powoli,
Prosto na góre Zamkową.

Słońce jasno-złotą strugą
Rozlewało się po mieście...
I staliśmy, patrząc długą,
Aż mały smarkacz rzekł wreszcie:

»Dlaczego te wielkie mury,
»Ci ludzie tacy wspaniali,
»Gdy na nich patrzeć się z góry,
»Tatusiu, są tacy mali?«

1886.

Każdy, komu źle na świecie...

Każdy, komu źle na świecie,
Płacze, jęczy i wyrzeka:
A gdy bliźniego los gniecie,
To nic — śmieją się z człowieka.
Wiem dobrze, bo ile razy
Pisnę, że mnie życie nudzi,
Zaraz wołają: Damazy!
Bój się Boga! nie drwij z ludzi!
Masz zdrowie, wioskę jak złoto,
Wszelakie warunki bytu...
No, mam, mam, mam, mniejsza o to!
Ale nie mam apetytu!
Tej życia woni i treści.

Czytałem w jakiejś powieści,
Że ktoś tam naraz zjadł wołu.
Ja, ledwo zjem funcik szynki,
Pięć bułeczek do rosołu,
Pasztet, ćwiartkę cielęcinki,

Prosiątko, kurczę, szczupaczka...
Koniec! już po apetycie!
A gdzie zajęc! a gdzie kaczka!
Tort, kompocik?... głupie życie!
Człowiek widzi dary Boże,
Chciałby zjeść wszystkie — nie może!
Nie może! słowo honoru!

I jak tu mieć w takie chwile,
Choć odrobinę humoru!
Gdybyż smutku tylko tyle!
Ale gdzie tam! Przez ulicę
Biegnie dziewczątko figlarne;
Ledwo ją okiem zachwyca,
Już mam apetyt na sarnę!
A idzie kto wolnym krokiem,
Tłusty, z pochyloną głową,
Ledwo że nań rzucę okiem,
Już jadłbym pieczeń wieprzową!
Wszystko mnie dręczy i gnebi.

Ale siegnę jeszcze głębiej:
Człowiek oprócz podniebienia,
I myślą wszechświat przenika.
Cóż?... ciągle rozgoryczenia!
Naprzkład: Widzę indyka,
I muszę myśleć... Niestety,

Ptak ten istnieć czy ma racyę?
Nadziany, ma on zalety...
Jednak dany na kolacyję
Krzyżuje jej święte cele.
Bo, cobądźby się zdawało,
To zjeść dwa na raz — za wiele,
A zjeść jednego — za mało.

Filozofuj tu bezkarnie!
Gdzie tylko postawisz nogę,
Męczarnie! same męczarnie!
Mogęź być wesół? — nie mogę!

Tak to, każdy ideałem
Chce być na tym nędznym świecie...
Ale, jeszcze zapomniałem,
Że mnie często — w dołku gniecie!

1887.

Światek nasz jest bardzo miły.

Światek nasz jest bardzo miły:
Bartek pracuje nad siły,
Za to Wit robi niewiele;
Piotr obdziera i w niedziele,
Jaś pełza przez życia drogę,
Zdziś podstawia bliźnim nogę,
Franio kłamie jak najety,
Prot całuje możnych w pięty,
Stach rozbija, Leoś kradnie,
I zabawnie jest i ładnie.

1887.

Ten temu rzekł: Jesteś ciełę.

Ten temu rzekł: jesteś ciełę!
A ten mu: barania głowa!
Ruszyli się przyjaciele,
Gwałtu! sprawa honorowa!
Pojedynek... Naturalnie.
Poszli? Gdzie? Jak? o to mniejsza.
Mniejsza również, kto tam palnie
Kogo w łeb i razy ile;
To jednak rzecz szczególniejsza,
Że obie strony, niestety,
Nie pomyślały na chwilę,
Czy też owe epitety,
Nie są na miejscu, broń Boże?
Ja nie wiem — ale być może.

1888.

Całuję rączki.

Pasyami lubię długie godziny,
Wystawać z wędką nad brzegiem rzeczki;
I dobrotczynne lubię festyny,
Lecz nadewszystko lubię wycieczki.

Sama myśl o tem już mnie porusza;
I kreśli obraz taki uroczy,
Że moja, zwykle spokojna dusza,
Ledwo że z piersi mi nie wyskoczy.

Już słyszę głosik Cioci Heleny,
Co Zdziś i Fipcia na siebie włoży,
I widzę, widzę moje guldeny,
Jak z portmonetki lecą w świat boży!

Podziwiam moją wymowę własną
Do dorożkarza, jak jedną nogą
Stojąc we fijakrze, dowodzę jasno,
Że do rogatki — gulden — za drogo...

Wreszcie jedziemy w obłokach pyłu.
Poczem, za miastem, nie tracąc czasu,
Zdziś z Fipcią przodem, ja z ciocią z tyłu,
Maszerujemy grzecznie do lasu.

Idziemy sobie pełni ochoty,
Gotowi stroić żarty, swawole...
Ja niosę chustkę, dwa paletoty,
Koszyk z pieczenią i parasole.

Odpoczywamy na ślicznej łące,
I podziwiamy na tle zielonym,
Srokate cielę wdzięcznie skaczące,
I z zakręconym, świnke, ogonem.

Myślimy gdzieby pójść na śmietanę,
Zdziś płacze, wpadły do jakiejś dziury,
Fipcia wstępuje w coś podejrzane...
Tymczasem niebo stroi się w chmury,

I nie zważając na nas coś mruczy.
Srokate cielębeczy żałosnie,
Ciocia i Fipcia boją się tuczy,
Więc podążamy ku wielkiej sośnie.

Wtem ryknął piorun, raz, drugi, trzeci,
Wiatr wyje, ciocię porywa febra,

Kapelusz Fipci do nieba leci,
Deszcz kropi, wreszcie lunał jak z cebra.

Ratuj kto może! Więc za pas nogi,
I w cwał przez pola z wściekłą ohotą.
W pędzie rozdzieram majtki o głogi,
W uszach mam wodę, w trzewikach błoto.

Wreszcie wpadamy do jakiejś chaty.
Patrzymy w koszyk — niema pieczeni!
Trudno, zjadamy nieco salaty,
I osuszamy się — zachwyjeni.

Błoto po kostki — a tu niewiasty!
Z daleka słyszać pomruki gromu,
Więc najmujemy wóz drabiniasty,
I powracamy sobie do domu.

Tak. Myśl wycieczki gdy w sobie noszę,
Serce radosnej dostaje drążczki.
Mój mocny Boże! Co za rozkosze!
Co za rozkosze! — Całuję rączki.

Nowożytny Otello.

On był roztropny i na wszystko gotów.
Ona milcząca, lecz pełna przymiotów.
Znali się z sobą od półtora roku,
A on dni całe spędzał przy jej boku.
Aż raz, w mózg wpiła mu się myśl dręcząca,
Co duszę targa i spokój zamąca,
Że ona, chociaż o lodowej twarzy,
Innych prócz niego swoją łaską darzy.
Miesiąc się wahał w swych uczuć rozterce,
Aż pierś jej przebił i wydarł jej serce,
I wesół, ruszył w lot do Ameryki.
Tam, obojętny na wrzawę i krzyki,
Jada ostrygi, popija curasso...

On był kasjerem — ona była kasą.

Paniom naszym.

Wiersz, powiedziany na raucie Koła Literackiego
we Lwowie d. 19 Grudnia 1889 r.

Na łup oddany krytyków gromadzie,
Bym się ich lękał, o tem mowy niema.
Dla czegoż dzisiaj, na tej tu estradzie,
Jakaś nieznana ogarnia mnie trema?
Bom nigdy w walki zamęcie i pyle,
Nie miał przed sobą pięknych oczu tyle.
A że już jestem niby... nieco... stary,
Tem więcej czuły na gusła i czary.
A jednak, jednak sumienie mam czyste;
Bo nigdy w życiu ostrze mojej mowy,
Tak mi dopomóż Panie Jezu Chryste,
Nie zadrasnęło żadnej białogłówki.
Bo, że tam czasem dotykam turniury,
Lub podobnego jakiego fortelu,
To jest to wyskok niewinnej brawury,
Ale nie w żadnym poważniejszym celu.
Te niewinności złożywszy dowody,

Powiem dziś prawdę, jaką z życia fali
Wyniosłem — perłę przenajczystszej wody.
Powiem, bez względu cobądźby gadali
Mędrzec, filozof, sceptyk lub asceta,
Na własne rany bez względu i blizny,
Powiem, że nawet najgorsza kobieta,
Od najlepszego jest lepszą mężczyzną.
To powiedziałem i tego dowiodę,
Chociaż rzecz będę traktował z ostrożna,
Bo mógłbym w końcu tak zamacić wodę,
Że nicby znaleźć w niej nie było można.
A więc zaczynam miłościve Panie!
I pytam głośno: jakie wasze grzechy?
Pytam i słyszę ogólne szemranie,
Że nadewszystko lubicie uciechy,
Że się kochacie w balowej rozterce,
I żądne hołdów i czczej adoracyi,
Często zbyt czułe podrapiecie serce.
Prawda. W tem wszystkiem jest niemało racyi;
Jednak co do mnie, to ja, com swawole
Nie jedną widział i taką i ową,
Stokroć z przebitem sercem chodzić wolę,
Niżli z rozbityą butelkami głową.
Teraz grzech drugi: słyszę wielkie krzyki,
Żeście niesyte pereł i atlasów.
Prawda. A jednak, co za zarzut dziki!
Boże miłości wszech ludów i czasów!

Ja, gdybym w dłoni mojej dzierżył światy,
Zarazbym, zamiast na mord i na wojnę,
Miliardy rzucił Wam do stóp, na kwiaty,
Byście szczęśliwe, uśmiechnięte, strojne,
Jaśniały w złocie, purpurze i bieli,
A my przed Wami w zachwycie klęczeli.
I rajby istniał. Niema go, niestety!
Czyja w tem wina? Chyba nie kobiety.
Idzie grzech trzeci. Tutaj o łaskawy
Poklask upraszam lilii i różyczek,
Biorę na barki losy wielkiej sprawy,
Gdzie oskarżonym jest... jest wasz język.
Mówią, że często bywa niezbyt słodki,
Że lubi wielkie, małe, średnie plotki,
Że w dzień, w noc, wieczór, w południe, nad ranem,
Biega wam w buzi wywołując swary.
Prawda. Jednakże, gdyby mi tak danem
Było wybierać wśród ludzkiej przywary,
To wobec męskiej piękci i maczugę,
Wolę kobiecy język — nawet długie.
Grzech czwarty wreszcie, to są Wasze łezki.
Bo, głoszą nawet Wasi przyjaciele,
Że marnujecie ten Wasz dar niebieski,
Na... że tak powiem... na uboczne cele.
Że łezką sztuczną myjecie kaprysy.
Prawda. Lecz na tem czy ucierpi cnota,
Jeśli npaprzykład mąż stary lub lysy,

Za lzy Wam kupi na kapelusz kota?
Za to w posepnym życia trybunale,
Gdzie siła — prawem, jak ta lza wspaniale
Brylantem łaski ludzkości przyświeca?
Toż pielęgnujcie Waszą łaskę marną,
Boby nam, gdyby nie ta lza kobieca,
Na bożym świecie było bardzo czarno!
Owoż, dowiodłem jasno, bez przesady,
Wbrew narzekaniom wielkiego poety,
Że jeśli ludzkość ma plamy i wady,
Winni mężczyźni, ale nie kobiety.
Tak, wy jesteście dobre, miłe, ładne,
Czułe, potulne, słodkie, wdzięczne, składne,
Zacne, szlachetne, urocze — anioly!
To też z nas każdy, smutny czy wesły,
Bez animuszu, czy też z animuszem,
Choćby był mędrcem, sułtanem, geniuszem,
Dzikim ascetą, samym świętym Jackiem,
Winien jak długi paść Wam do nóg plackiem.

Życie jest tak marną chwilką...

Życie jest tak marną chwilką,
Że pragnąć wiele, nie radzę.
Mnie, gdyby fortuna tylko
Dała wawrzyny i władzę,
I renty ze dwa miliony,
Już byłbym zadowolony.

1889.

Po rautie.

Tak jestem ziryutowana,
Na raut, na Lwów, na świat cały,
Że już nie zasnę do rana.
Chcą mnie złapać na morałki!
I kto? Pan Jan! śliczna lala!
Stary osioł z pod Sokala!
Spotyka nas w garderobie,
Gdyśmy razem z ciocią, obie
Tylko co na raut przybyły,
I woła: »Pani ucieka!«
»Już! tak wcześnie! Boże miły!
»Ledwo dziewiąta godzina!
»Przecież droga niedaleka!«
Osioł! i śmiać się zaczyna.
Inni też się uśmiechali.
Ja, spojrzałam na nich dumnie,
I szybko weszłam do sali.

Prędzej dam się zamknąć w trumnie,
Z domu nie ruszę się wcale,

Niż ktokolwiek mnie przekona,
 Bym na rauty i na bale,
 Przyszła wczas, jak jaka bona!

Gadaję, »że w taki sposób,
 »Każdy raut psuję zawczasu;
 »Bo poruszam tyle osób,
 »I tyle robię hałasu,
 »Że ktokolwiek cobądź czyta,
 »Deklamuje albo śpiewa,
 »Ucho sensu ani chwyta;
 »Więc i publiczność się gniewa,
 »I artystom krzywda wielka.
 »Może to i bagatelka,
 »Lecz tak robić się nie godzi.
 Tra la la la! Kazanie!
 A ja na to, mości panie,
 Że mnie to nic nie obchodzi.

Śpiew, muzyka, deklamacja,
 Są to rzeczy może ładne,
 Lecz dla mnie jedyna racya,
 Którą na pierwszy plan kładnę,
 Jest szyk mojej toalety.

Przyjdę wcześnie, sala pusta,
 Czterech mężczyzn, dwie kobiety,

Siedzą i sznurują usta,
Jak figurki z porcelany,
A mnie, admirują — ściany.

Wchodzę późno — ścisł w salonie,
Ktoś tam gada jakieś wiersze,
Po jednej i drugiej stronie
Robią dla mnie miejsce szersze,
Każdy pyta co to? kto to?
Wyciąga szyję do góry,
Chwali moją kolę złotą,
Urocze kształty turniury,
Biust, kibić, na wszystkie boki...
A ja rosnę pod obłoki,
I ledwo świadoma bytu,
Zasiadam pełna zachwytu.

Tak jest, więc skończona sprawa.
Róbcie sobie śpiew i granie,
Ja tam tego nie ciekawa.
Ja na raut, mimo gadanie,
Nigdy w czas, wierna zasadzie,
Nie przyjdę, jak byle jaka.
Choćby tam miał na estradzie,
Sam Bismark tańczyć kozaka.

Był pojedynek. Amerykański.

Był pojedynek. Amerykański.
On zwał się Szkłański, a drugi Dzbański.
W gronie przyjaciół pili noc całą,
I... no, i coś tam stać się musiało.
Program był taki: że bez halasu,
W przyległej sali, nie tracąc czasu,
Ten, komu gałkę los rzuci czarną,
Natychmiast śmiercią przepadnie marną.
Stało się. W zimnym On ma ledz grobie.
Więc wziął pistolet i poszedł sobie.
A przyjaciele, teskni, czekali,
Na katastrofę w przyległej sali.
Rozległ się wystrzał.
. Wśród groźnej ciszy,
Na progu stanął *On*. Ciężko dyszy,
Dlonią skroń ciśnie, zwalany pyłem,
I rzekł: »Skończone wszystko — chybilem!«

Piosenka.

Pan Ambroży jest mocny,
Pan Barnaba słaby.
Walczę; a ja zaś stoję
Po stronie Barnaby.

Może los Ambrożego
Na ziemię położy...
To ja sobie tam stanę
Gdzie leży Ambroży.

Mówią, że tym sposobem
Łatwo dostać w skórę...
Prawda. Cóż kiedy taką
Głupią mam naturę.

Byłam na raurcie! Co za słodkie chwile!

Byłam na raurcie! Co za słodkie chwile!
Ile uroku! lubych wspomnień ile!
Błądzę wpół senna, błądzę rozmarzona,
Tysiące westchnień rwie się z mego łona,
I poi szalem to serce niewieście,
Co pierś mą targa lat przeszło czterdzieście!
Byłam na raurcie!... I oni tam byli!
Trzy słońca moje, z przenajmilszych mili!
I teskny szatyn, amorek strzelisty,
I on, mój blondyn słodko-promienisty,
Istny Apollo wykuty z marmuru.
I oderwany z anielskiego chóru,
Serafin dla mnie od Boga zesłany.
Patrzyli na mnie, jako tulipany
Barwiste, patrzą na kwiat kameliowy.
A wszystkie panny, mężatki i wdowy
Patrzyły na nas z niemem zadziwieniem,
Blednąc jak gwiazdy przed słońca promieniem.
Urocze chwile! jak was serce pieści,

Co pierś mą targa lat przeszło czterdzieści!
Byliśmy razem, i długo, po sali,
Razem błądzili i razem wzdychali,
Tęskną rozmowę prowadząc oczami.
Ja i Apollo i Amor za nami.
Aż wreszcie w bocznym, cichym gabinecie,
O całym bożym zapomniawszy świecie,
Staliśmy pełni szczęścia i nadziei,
Amor na bokу czekał swej kolei,
A choć na czole miał tęsknoty chmurkę,
Rozkosznie bawił — pannę — moją córkę...
Wtem rozebrzmiały ponadziemskie tony...
To on, Serafin mój rozanielony,
Stał na estradzie i wyrzucał trele,
I serce gubił. — Smutek i wesele,
Miliony uczuć w duszę mi się wpiło,
I parło naprzód z nieprzepartą siłą.
Rzuciłam obu dwa teskne spojrzenia,
I przed Serafem, pełna upojenia,
Stanęłam z dłonią u drżącego Iona;
On rozśpiewany, a ja zapatrzona.

Wszyscy patrzyli na mnie jak na tęczę;
I coś szepiali o mnie; za to ręczę.
O ludzie! ludzie! o plemię wy podle!
Jam nie ulana jest na waszą modłę!
Wiem, że gadacie o mnie różne rzeczy...

Boże wam odpuść i miej w swojej pieczy.
Bo wy nie wiecie, ile ideału,
Ognia, tęsknoty, zapomnienia, szalu,
Może pomieścić to serce niewieście,
Co pierś mą targa lat przeszło czterdzieście!

1890.

Nazywał się Tadeusz, przepraszam, Teofil.

Nazywał się Tadeusz, przepraszam Teofil,
Miał oczy szaro-bure i klasyczny profil;
Imponował cylindrem i laską złocistą,
Był w pierwszorzędnym biurze drugim koncepcistą,
Co miesiąca brał złotych sto dziesięć z drobnemi,
Miał się za najwspanialszą ozdobę tej ziemi,
Był poważny, stateczny i niezmiernie — głupi.
I czekał. Czego? — Czekał, czy go kto nie kupi.
I wkrótce, za tysięcy z okładem dwadzieścia,
Zakupiła go panna Aniela z śródmieścia.
Ojciec panny miał willę i składy z bawełną,
Panna była ambicyjny i energii pełna,
I pan Teofil wprzedce ukląkł przed ołtarzem.
W lat parę go zrobiono trzecim sekretarzem,
Dalej drugim i pierwszym, i radcą i basta.
Potem siadł na ratuszu jakoojciec miasta,
W sławnej mowie zgruchotał żebrające dziady,
Dawał bale, fajf-kloki, rauty i obiady,
Został członkiem nadzorczej Rady od kolej,

Prezesem towarzystwa »Zielonej Nadziei«,
A choć rozum jak dawniej miał umiarkowany,
Był wielbiony, ceniony, głośny, podziwiany...
Aż nareszcie syt sławy, godności i złota,
Pozwolił Parkom przeciąć nić swego żywota.
Natychmiast wielkim głosem ryknęły gazety,
Na pogrzeb wysadzono cztery komitety,
Trzy gmachy wywiesiło trzy czarne chorągwie,
Na drodze do cmentarza lano wody stagwie,
Sypano żółty piasek, przymknięto kawiarnie,
W dzień biały na złość słońcu palono latarnie,
Wieszano, i wieziono i niesiono wieńce.
Przed kapelą skakały brudne potępieńce,
Nad grobem wygłoszono pięć mów pełnych gromu,
Wreszcie śmietanka miasta wróciła do domu,
By znów robić i sławić, a gdy przyjdzie chwila,
Grzebać setnego z rzędu — radę Teofila.

1890.

Ulicą dąży dziewczyna.

Ulicą dąży dziewczyna,
Dwaj ją ścigają młodzieńce.
Nie lazła im w łeb łacina,
Choć zlazły z twarzy rumieńce.

Czynią kobiecie bezprawia,
Jak lwy zuchwałe skaczące...
Nagle, ktoś z laską się zjawia,
I lwy przekształca w zajace.

Tak to ma, zacna natura,
Na wszystko oko matczyne:
Stworzyła błazna i gbura,
Stworzyła laskę i trzcinę.

Każdy mąż, co się ma za półboga.

Każdy mąż, co się ma za półboga,
Od Meternicha aż do Bismarka,
Gdy mu się kiedy powinie nogą,
Zamiast na siebie na losy sarka.

A jednak, żeby nie upaść w błoto,
Nie trzeba na to ani nauki,
Ani gieniuszem błyszczeć i cnotą,
Wcale nie wielkiej potrzeba sztuki.

Mniej więcej, takiej, ot, bagatelki:
Codziennie ranną pomyśleć chwilką:
Czy ja naprawdę jestem tak wielki,
Czy może mi się tak zdaje tylko?

Znałem ją.

Znałem ją. Na wsi, co rana,
Pasła gąsięta na łące.
W spódniczce, bosa, rumiana,
Oczęta miała śmiejące.

Filantrop, co słynął z cnoty
I serca wśród okolicy,
Zajął się losem sieroty,
Na pensję oddał w stolicy.

Dziewczyna miała naturę
Łagodną i zdolność wielką,
W lat kilka zdąła maturę,
Została nauczycielką.

Znam ją. Na spacer gąsięta
Wodzi jak dawniej, tak samo.
Ale w turniurze, opięta,
Jest piękną, miastową damą.

Tylko, że pierś jej żal tłoczy
Za szczęścia spełzłą nadzieję,
Tylko, że dzisiaj jej oczy,
Już się jak dawniej nie śmieją!

1890.

Gdy Hamlet cisnął w twarz naturze...

Gdy Hamlet cisnął w twarz naturze
»Być albo nie być«, pełne gracyi,
Rzecz pewna, że miał w sercu burzę;
Bądź co bądź był on po kolacyi.

Gdyby był głodny, byłby raczej,
Zamiast onego tragi-krzyku,
Niemniej tragicznie, choć inaczej,
Zawałał: »Dajcie mi befsztyku!«

Tak to zawiła kwestyę bytu,
Rozstrzyga prosta — apetytu.

I z awantury wyszedł honorowo.

Pan Paweł, Piotra zastał z swoją żoną;
W sprzeczce się pozbył zębów prawej szczećki,
A w pojedynku, że był słabszą stroną,
Utracił ucho, lewe, Bogu dzięki.

W szpitalu, jęcząc, leżał dwa kwartały,
Doktor mu zabrał storubłówkę nową...
Ale przynajmniej chwali go świat cały,
Że z awantury wyszedł — honorowo.

1890.

Posłuchanie u Jowisza.

Raz, o jedenastej rano,
Jowiszowi meldowano,
Że w sieni jakiś pan czeka.
Jowisz, choć nie znał człowieka,
 I choć po ciele
 Nie wnosił wiele,
Zaprasza, grzecznie się kłania,
I udziela posłuchania.

— Jestem, rzecze postać owa,
Obywatel miasta Lwowa,
Wielki pisarz, mistrz Bazgrota.
Ja umieszczam co sobota
 Me postulaty
 W łamach »Armaty«.
Jest w nich mądrość niesłychana,
Natychmiast przekonam pana...

— Nie potrzeba, nie potrzeba,
Rzecze Jowisz, to rzecz Feba,

— Być może, lecz mniejsza o to.
Zechciej pan, panie Bazgroto,
Podać treściwie,
Jaki właściwie
Masz interes na Parnasie,
Nam tu zależy na czasie...

— Owszem, rzecze pisarz wielki,
Powiem wszystko, do kropelki.
Dwie sprawy mnie tu przywiodły:
Więc najprzód zanoszę modły,
By moje pióro,
Gromową chmurą,
Otoczyło moje wrogi,
I wyłukło co do nogi.

— Mam dyskrecyjonalną władzę,
Rzecze Jowisz, nie poradzę.
W mem ministerstwie oświaty,
Tak dziś, jako i przed laty,
Główcy, gdy młode,
Kładą na kłodę,
I tłuką, w celach kultury,
Młotem i z dołu i z góry.

Patrzmy, oto są notatki:
»Wypadek nadzwyczaj rzadki;

»Głowa Imć pana Bazgrotę,
 »Wyszczerciła cztery młoty,
 »I cztery dłuta.
 »Mocno zakuta*.
 Jakże panie z taką głową,
 Chcesz być chmurą piorunową?

Mistrz Bazgrota rozwścieczony,
 Woła: Fałsz, to są androny!
 Ja mam głowę wielkiej wody!
 Jutro przyniosę dowody.
 Dziś druga sprawa:
 Jakaś Warszawa,
 Prysiągała tu nam krytyka;
 Ciągle we mnie nogą fika.

Jak-em wielki mistrz Bazgrota,
 Ciskam weń garściami błota...
 Myślałem, że go pożarłem,
 A on jest i zwie mnie karłem!
 Tego nie znoszę.
 Żądam i proszę:
 Bez najmniejszej ceregieli,
 By go wszyscy djabli wzięli!

— Bardzo wierzę, Jowisz powie,
 Wiem, drwi z pana, co się zowie,

Ano i tucze szkaradnie.
Znam całą sprawę dokładnie.
Pana to dlawi,
A jego bawi.
Za nim są Olimpu Bogi,
Nie dasz rady, zejdź mu z drogi...

— To tak? — wrzaśnie mistrz Bazgroła,
To taka wasza ochota,
Dla gieniuszów? Mam być echo?
Nie chcę, nie będę, pal licho!
Ja wam pokażę!
Sprawę rozmażę!
Osmaruję was w »Armacie!«
Kiedy tak, to mnie poznacie!

Tu, Jowisz, zirytowany,
Wstał, przybliżył się do ściany,
Szarpnął dzwonek z całej siły,
I rzekł: To egzemplarz mily!
A to mi ryba!
Oszalał chyba.
Tu morały nie pomogą!
Merkury! dajno mu — nogą!

Pessimista.

Znałem człowieka, który długie bardzo lata,
Studyując pessimistów, taki wstęp do świata
Uczuł w głębi swej duszy, tak stał się ponury,
Takie wokoło siebie widział czarne chmury,
Że litość nad nim brała. Aż, pewnego razu,
(Szczegółów mi brakuje do tego obrazu),
Dosyć, że raz, fertyczna blondyneczka mala,
Zabrała się do niego i pocałowała.
I tak mu pocałunek ów przypadł do smaku,
Że natychmiast Hartmana zawiesił na haku.
Uściaskał blondyneczkę raz drugi i trzeci,
Ożenił się, w trzy lata miał pięcioro dzieci,
I był wcale szczęśliwy i w nocy i we dniu.
I mawiał: Wiesz co bracie, pessimizm — to bредnie,
Torby sieczki nie warta paplanina pusta.
Dokąd świat ma kobiety i ich słodkie usta,
Pessimizm chyba tylko chorą głowę chwyta.
Niechże ją Bóg opatrzy w swej łasce i kwita.
Ja zaś, pragnąc rozszerzyć bardziej widnokręgi,
Dodam: że pessimisci — to są niedołęgi.

W maju, w Warszawie.

W maju, w Warszawie, w parku, nad strumieniem,
Siadłem, pragnąc nasycić się słowiczem pieniem.
Wypłynął księżyc blady, i luba ptaszyna,
Wśród uroczej ciszy, koncert rozpoczyna.
Przebóg, jakieś mi znane tony w przestrzeń lecą...
Ach, to mistrza Mascagni słynne *Intermezzo*!
Grywane po ogródkach, wiecznie, co wieczora,
Siadło wreszcie w gardziolku leśnego tenora.
Wstałem, i nieprzepartem tknięty uniesieniem,
Schyliłem się, i w krzaki — palnąłem kamieniem.

1893.

Idylla maleńka taka.

Idylla maleńka taka:
Wróbel polyka robaka,
Wróbla kot dusi niecnotą,
Pies chętnie rozdziera kota,
Psa wilk z lubością pożera,
Wilka zadławia pantera,
Panterę lew rwić na ćwierci,
Lwa — człowiek; a sam, po śmierci
Staje się łupem robaka.
Idylla maleńka taka...

1893.

Konwersya.

Zgadzam się, że powaga od tych mężów płynie,
Co szczyty na społecznej zasiedli drabinie.
Za to, proszę mi przyznać, jako nie jest blaga,
Że i listy zastawne są także powagą.
Owóz, gdy te ostatnie, bez najmniejszej tremy,
I z pozytkiem dla kraju wciąż konwertujemy,
Kwestya, czyby i pierwszych plejadę wspaniałą,
Cokolwiek skonwertować nam nie wypadało.
Męże blasku, albowiem są dziś pokrzywdzeni,
Siejąc zbyt wielki procent swych jasnych promieni.
Niech trzy i pół przeznaczą dla krajowej gleby,
A resztę zachowają na własne potrzeby.
Rzucam myśl. Czy przyniesie nam jakieś korzyści,
Nie przesyłam, obliczą to ekonomiści.
A zaś, czy kiedykolwiek w czyn się przeistoczy,
Wątpię — mamy na jasność zbyt łakome oczy.

1893.

Sielanka miejska.

Raz, siedziałem sobie w klubie,
Przy wińcu, który dość lubię.

Ale, że to było w maju,
Więc z zasady i zwyczaju,
Poszedłem zaczerpnąć chłodu,
Do śródmiejskiego ogrodu.
Kroczyłem główną aleją,
Gdzie bzy słodkie wonie sieją,
I gdzie muzyka przygrywa,
Gościom, przy kufelkach piwa.

Ale, że tam ścisk był strogi,
I deptano mi na nogi,
Oraz przyparto o drzewo,
Więc pomknąłem nieco w lewo,
I siadłem sobie na ławie.

Ale, że tam zbyt laskawie,
Strój naszej miłej niewiasty,

Że tak powiem — ogoniasty,
Rozłaczając szyk uroczy,
W usta moje, nos i oczy,
Napędzał kurzu tumany,
Więc nieco zmaltretowany,
Udałem się w inną stronę:
Gdzie szmaragdowo-zielone
Rozścierają się trawniki.

Ale, że tam piski i krzyki
Dzieci, bon, mamek, piastunek.
Czyniły pewien gatunek
Rautu, którego muzyka,
Była cokolwiek dzika,
Więc ruszyłem jeszcze dalej,
Gdzie już tylko perz i szalej
Posadził ojciec niebieski.

Ale, że tam znowu pieski,
Buldogi, mopsy, ratty,
Brytany, pudle, pinczery...
Zgromadzone na fajf-kloku,
Z tego i owego boku,
Łydkom moim zagrażały,
Więc uczyniłem skręt mały,
I tak, niby mimochodem,
Znalazłem się za ogrodem —

Na ulicy — a po chwili,
Koledzy mnie zobaczyli,
Jak przyzwoicie zmęczony,
Spocony i opylony,
Siedziałem spokojnie w klubie,
Przy wińcu, który dość lubię.

1893.

Nasza prasa — dzielna prasa.

Nasza prasa — dzielna prasa,
Gdy cię kocha — rozkosz duszy.
Lecz powiedz jej, że nie krasa...
No, zatykaj nos i uszy.

Przykład: Lubisz kluski z serem,
Ona lubi kluski z makiem.

Ergo: Jesteś osłem, zserem,
Blaznem, zdrażającym i fajdakiem.

Bóg wie, co nam trzeba.

Pewien żyd mi powiedział: Bóg wie, co nam trzeba,
I dobrze nasz interes reguluje z nieba.
Jest tu u nas, w powiecie, pewien szlachcic dumny,
Wielki wilk na pieniądz, chytry i rozumny.
Jak to pięknie Bóg zrobił, rozdając dukaty,
Że ten szlachcic od dziecka jest taki bogaty.
Bo, gdyby on był biedny, no, toby pewnikiem,
Nie jasnym panem został, ale — rozbójnikiem.

1894.

I n n a.

Piękna kobieta narzeka:
»Łudziłam się nadaremnie!
»On mnie już zdradza, ucieka...
»Znalazł piękniejszą odemnicę».

Piękna kobieto, ty siebie
Nie dręcz obawą dziecienną;
Rywalka — nie jest od ciebie
Piękniejszą, jest tylko — inną.

Napotkałem człowieka.

Napotkałem człowieka, co rzekł: »Jestem świnia«.
Był to szlachcic z Podola, z Litwy czy z Wołynia,
Mniejsza o to; spokojny, posunięty w lata,
Pobłażliwy, bez wszelkich pretensji do świata...
Zadziwił mnie, przywykły do innego tonu,
Porównałem go z gładkim rycerzem salonu,
Co pustkę w sercu mając, z komedyjankim gościem,
Wola: »Stójcie i patrzcie! wspaniały lew jestem!«
I... przed człowiekiem, który w samochwałstwa łapkę
Nie wpadł, przed ową zacną — świnią — zdjąłem czapkę.

Dawna, minionych lat muzyka.

Dawna, minionych lat muzyka,
Serca i myśli to mistrzyni.
I był w niej słodki śpiew słowika,
A jeśli ryk — to lwa pustyni.

Dzisiaj innemi płynie szlaki:
Dla chorych nerwów to arena.
Uczone w niej szczebioczą szpaki,
Albo cmentarna wyje hyena.

Dla tego głębin nie poruszy,
Ani tknie wyżyn dźwięk jej mowy.
Bo dawniej gieniusz smuł ją z duszy,
A dzisiaj majster snuje z głowy.

I nigdy w życiu nie skradł ani pół korony.

Od kolebki do trumny — posiadał miliony,
I nigdy w życiu nie skradł ani pół korony.
Naturalnie że ludziom patrzał w oczy śmiało,
I był swego narodu niebotyczną chwałą.
Dygnitarstw na swych barkach tłustych dźwigał cztery,
Miał władzę i tytuły, honor i ordery...
A rozumu, rzecz prosta, ile w morzu piasku.
Więc pławiał się w powadze, zachwycie i blasku...
A no »miał od kolebki do trumny miliony,
I nigdy w życiu nie skradł ani pół korony».

1895.

Kiedy-m w Japonii był.

Kiedy-m w Japonii był, widziałem,
Otokodatów, bratnie grono,
Których dewizą: sercem śmiałem
Stawać za prawdę uciśnioną.

U nas inaczej: Prawda sama
Broni się bez *Otokodatów*:
Stąd, ta rycerska u nas dama,
Nosi na plecach znaki — batów.

1895—

P r a w d a.

Jeden mówi, na lewo nam iść nie wypada,
Drugi woła, na prawo nie idźmy — tam zdrada!
Trzeci każe brać losy ogniem i żelazem,
Czwarty krzyczy: jesteście lotry wszyscy razem.
Piąty radzi przed siłą padać na kolana...
Szósty milczy... a Prawda, zawałowana,
Od fałszywych proroków stanęła zdaleka,
I smutna, na wyznawcę uczciwego czeka.

1896.

Pogadanka muzyczna.

Raz, owinięty w szlafrok, nie mając ochoty,
Ani to do zabawy, ani do roboty,
Dumalem, kto z śmiertelnych na tym bożym świecie
Jest szczęśliwy i wielki? No i co powiecie,
Po gruntownej rozwadze nabrałem pewności,
Jako esencją, dumą, zaszczytem ludzkości,
Są może od muzyki. Kto się tarza w złocie?
Kogo narody ciągną w karetach po błocie?
Tylko ich. Mówić o tem bez żalu nie mogę,
Bo i ja rozpoczęłem życia mego drogę
Od tej wzniosłej czynności, że zapamiętałe
Godzinami bębniłem na klawicymbale.
A choć od owych godzin sporo chwil uciekło,
Jeszcze dziś mi biegają palce z furią wściekłą,
I pojęcia mam nieco o Jeneral-Basie.
Kiedy tak rozmyślałem o tym błogim czasie,
Błysnęła mi myśl w głowie; a nuż ja zawróćę
Do Muzyki i z łona mojego wyrzucę
Od lat blisko czterdziestu zamknięte tam tony?
Kupa ich tam być musi... Wesół, zachwycony,
Zasiadłem do pulpitu i przez doby cztery,

Napisałem libretto najprzód do opery,
A przez dwa dni następne onej partiture.
Gdy, skończywszy, podziwiał jej pyszną fakturę,
Błysnęła mi myśl druga: że moja muzyka,
Tak subtelnie do ucha ludzkiego przenika,
Tak dzielnie ilustruje życie mych postaci,
Że tylko zyskać może na tem, a nie straci,
Gdy libretto w kąt rzucę i w sposób odrębny,
Światu myśl moją podam przez trąby i bębny.
Wprawdzie mówił mi jeden z artystów, mantyka,
Że pomysł mój jest dziki, albowiem muzyka
Pewne tylko wrażenia, że tak powiem, wciela,
Ogólne, jak tęsknoty, smutku lub wesela...
Lecz by powiedzieć mogła, czy kto jest uparty,
Mądry, głupi naprzkład, to są chyba żarty,
Ja jednak nie słuchałem zacofanych bredni.
Dobrze-m zrobił. Stworzyłem utwór niepowszedni,
Oryginalny, wielki! Moje arcydzieło
Jednakże, choć we Lwowie początek swój wzięło,
Posłałem za granicę; bo tam krótsza meta
Jest do nieśmiertelności; a no i moneta.
Kolegom zaś, by żalu nie żywili do mnie,
Opiszę, co mój gieniusz stworzył wiekopomnie.
Tembardziej, że ich kocham, szanuję i cenię.

Tytuł: »Leon i Klara«, czyli »Przeznaczenie«.
Preludium. Largamente. Tuba, na przemiany

Z Fagotem akord bierze, głucho markowany...
 To oznacza, że Leon zasnął na kanapie,
 I zwolna poświstuje nosem, oraz chrapie.
 Wtedy to pierwszy skrzypek długi ton zakwili,
Ad libitum, na kwincie; bo w tej samej chwili
 Drzwi skrzypnęły: wszedł ekspres z listem do Leona.
 Ten budzi się i czyta... Tak jest, tak, to ona,
 Boska Klara go wzywa. Zatem palto bierze,
 I biegnie podskakując. Więc Bębny, Talerze,
 Kotły, Rogi, Oboje, Walturnie, Trombony,
 Uderzą hymn zwycięstwa, *solenne natchniony*,
 A Skrzypce i Altówki w odpowiedzi na to,
 Rżną jednocześnie marsza, *vivace-staccato*.
 Potem pauza, bo Leon na palcach, z ostrożna,
 Skrada się do drzwi Klary — inaczej nie można.
 Tu następuje duet, gdzie główne momenty
 Ilustrują *arioso* aż trzy instrumenty:
 Klarnet, Harfa i Fagot. Gdy z *largo-grazioso*,
 Fagot z Harfą przechodzą w *violente-nervoso*,
 To Leon swej bogini składa serce w darze,
 A zaś Harfę z Klarnetem pozostawiam Klarze,
 KTóra mu odpowiada słodko-smętną nutą:
Con dolore, tristezza, molto sostenuto.
 Duet trwa dziesięć minut; poczem się wyłania
Intermezzo, bo trzeba dać czas do działania
 Kochankom. *Intermezzo* płynie *agitato*,
Vigoroso, pesante i apassionato...

Dwa uderzenia bębna i jedno Timpani.

Deciso con fuoco. To mąż Klary Pani,

Wali we drzwi i wchodzi. Wtedy Kontrabasy,

Na tle skrzypiec, wskazują kłótnie i zapasy,

Angoscioso-furioso. Aż strzał z dwóch Moździerzy

Głosi jako małżonek satysfakcję mierzy

Na grzbiecie bohatera. Jednocześnie śliczna,

Z góry na dół *staccato* gama chromatyczna,

Znać nam daje, że Leon w świat ze schodów leci.

Rozlega się chór tłumu: dziady, baby, dzieci,

Tren zawodzą, a tenor trzyma klarnet słodki,

Symbol czulego serca i ciekawej plotki.

Co pięć taktów Talerze brzęczą; boć u licha,

Zawsze ktoś tam wśród tłumu kaszle albo kicha.

Zwolna dwie Wiolonczele i cztery Puzony,

Szłą dźwięki *maestoso*. Leon przygnębiony,

Maszeruje do domu, klinąc na czem świat stoi,

A co ja wyobrażam jękiem dwóch Oboi.

Nareszcie cichną chorą, marsz kończy się pianem...

Leon się uspakaja... ale mu nie danem

Było spocząć po trudach; bo ledwie że ciało

Poturbowane w bramę wnieść mu się udało,

Zmieniam siedem *krzyżków* na siedem *bemoli* —

Ukąsił go pies wściekły — koniec jego doli.

Finał. Puszczam *furioso* wszystkie instrumenta,

Znak, że ludzkość z ustroju swego niekontentata.

A chcąc tem silniej podle napiętnować czasy,

Co dwa takty grzmot daję potężny — Grandkassy.
 Rzeczą się kończy anielskiem flotów *cantabile*,
 Na znak, że wkrótce światu błysną złote chwile.

Oświadczam, że jakkolwiek mocno się starałem
 Pracę moją opisać z werwą i zapalem,
 Skutku nie osiągnąłem; bowiem ludzka mowa
 Niezdolna oddać tego, co w sobie Ton chowa,
 Ton, gdy nim manewruje mistrz *General-Bassu*.
 Naprzykład ucielesnić chęć pojęcie czasu —
 Pięciu sekund; nikt tego nie odczuje żywo;
 Ale gdy skrzypcom każe wziąć nutę fałszywą
 I ciągnąć ją pięć sekund, wnet serce słuchaczy
 Pojmie rozmiar tej chwili. Oto co Ton znaczy,
 Dzieło moje efektów ma takich miliony,
 Więc dumny jestem z niego i zadowolony.

Słóweczko do kolegów: jakkolwiek mozołną
 Była ta praca moja — okradąć mnie wolno.
 Owszem, będzie to dla mnie najmilszą nagrodą;
 Widzieć jak moje myśli świat muzyczny wiodą

P. S.

W następnej kompozycji podam mową tonów,
 Dzieje serca dwóch papug i czterech gawronów;
 Bo nikt jeszcze nie wskazał, ile w ptasim dziobie
 Kunsztownych kombinacji siedzi. Ja to zrobię.

Nowy dowód, jak chwile bieg miewają prędkie.

Nowy dowód jak chwile bieg miewają prędkie:
Dwie damy, w jednej celi siedząc w kryminale
Sześć lat, tak mało czasu miały do gawędzi,
Że gdy je raz, o ósmej z wieczora wspaniale
Wypuszczono na wolność, te dzielne niewiasty
W bramie jeszcze gadały z sobą do dwunastej.

1896.

R e c e p t a.

Recepta: Zmień na drobne twoje kapitały,
Losy, renty, oblicgi, kupony — kram cały.
Następnie wyleź na dach pierwszej lepszej szatry,
I rzuć to wszystko razem, precz na cztery wiatry.
Niech się toczy, niech płynie przez jakie chce bramy.
Potem zleź i dopiero mów: »jestem bez plamy«.
Receptę tę znalazłem; daję ją, bo sprawa
Podobnego lekarstwa jest jednak ciekawa.

1896.

S a t y r a.

Dzisiaj, walczyć satyrą — niebezpieczna praca,
Chcesz dać typ polityka, przypuśćmy pajaca,
Darmo, dzisiaj ich mamy tak świetną gromadę,
Że przy nich twe obrazy będą mdłe i blade.
A gdyby ci się nawet kiedy i udało,
Stworzyć postać komiczną, dotąd niebywałą,
To i tak na nic; zaraz jeden, drugi, trzeci...
Porwie twą myśl, i takiem błazeństwem zaświeci,
Że osłupiały wodzisz przerażonem okiem,
Widząc, jako z satyra, stałeś się — prorokiem.

1896.

F R A S Z K I

F r a s z k a.

I.

W pieluchach uczą nas — muzyki,
Szkoła nas uczy — Cicerona,
Świat uczy różnej — gimnastyki,
Ale rozumu uczy — żona.

1890.

F r a s z k a.

II.

Są samoluby, są żli, okrutni...
Lecz najstraszliwsi — są ludzie smutni.
Gardzi się sercem żółcią zatrutem,
Smutne — nas hańbi — swych krzywd wyrzutem.

1890.

F r a s z k a.

III.

Kult artystów mocno chwaleę,
A i szampan lubię, — ale
Cenieę także mądre słowo:
Że »co nadto, to niezdrowo«.

1890.

F r a s z k a.

IV.

Panne, która w czas deszczu, umęczona staniem,
Skarżyła się na aurę wilgotną i zgnilą,
Przystojny młodzian pięknem pocieszał pytaniem :
»A gdyby, proszę Pani, i takiej nie było?«

1890.

F r a s z k a.

v.

Zdaje się, że już zejdę z ziemskiego padoku,
Górnego »Cis« nie słysząc! Co za dola dzika!
To jedno mnie pociesza, żem raz słyszał wolu,
Co ryczał, ach, jak ryczał! potężniej od byka!

1890.

F r a s z k a.

VI.

Dwóch, zasobniejszych w zdrowie bardziej niż w go-
[tówkę,
Tak sobie świąt życzyło: »Daj nam Boże stówkę«.

F r a s z k a.

VII.

Są zdania jednoznaczne na obydwie strony:
Jak : głodzony poeta — poeta głodzony.
Inne są szczególniejsze ; jak się wam podoba :
Co choroba — to doktor. — Co doktor — choroba ?

1891.

F r a s z k a.

VIII.

Od wieków, pióra mocarze,
Wskazują miłości — drogę.
Ten jej na prawo iść każe,
Ten w lewo ciągnie niebogę.

Lecz na naukę nie wiele
Zostawia jej czasu — praca;
Gdzie padnie, tam gniazdko ściele,
Albo koziolki wywraca.

1891,







4

AD-2382

Wojewódzka i Miejska
Biblioteka Publiczna w Rzeszowie

A-2382



001-0015996-00